ŁOWIEC POLSKI



Lecą gęsi!... Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 6 (926) 15 MARCA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Powrót z miotu. Fot. W. Makowski.

MUSZTARDA PO OBIEDZIE

W Wilnie ukazał się nowy dodatek do „Słowa" p. t. „Słowo Myśliwskie". We wstępnym artykule do tego dodatku p. t. „Homeopatja łowiecka" p. „inż. L. M." słusznie porusza kwestję nadużywania operowania terminami ochronnemi który to zabieg urósł do powagi bodaj jedynego i uniwersalnego środka na wszelkie objawy upadku zwierzostanów.

Nazywając ten system systemem staroświeckich pigułek Morrisona, mających właściwość skutecznego działania na wszelkie dolegliwości — od bólu głowy do hemoroidów, autor podkreśla własności cudotwórcze tych pigułek w stosunku do psychologji pp. lekarzy. „Lekarze zaaplikowali lekarstwo i — uspokoili się. Mają sumienie czyste. Mają nadto dumne poczucie spełnienia obowiązku". Istotnie trzeba przyznać, że środka tego nadużywamy i że uwagi p. „inż. L. M." na ten temat są najzupełniej słuszne. Sam niejednokrotnie podnosiłem kwestję, że zamykanie polowania, jako środek podniesienia stanu danego gatunku zwierzyny, ma wtedy tylko znaczenie, gdy jest ograniczone w czasie i jest połączone z rzeczywistą ochroną, bo w przeciwnym razie jest środkiem papierowym.

Słowem decyzja o powzięciu tego środka wymaga znajomości przedmiotu i... zastanowienia. Jeśli idzie o zwierzynę stałą, taką jak zające, kuropatwy i sarny — to wszelkie żonglowanie terminami ochronnemi dla podniesienia w tem czy innem województwie ich stanu należy uznać za najzupełniej chybione. Zwierzyna ta nadzwyczaj uporczywie trzyma się rewiru, w którym się urodziła; w tych rewirach, gdzie ma dobrego gospodarza łowieckiego żadne zmiany w czasach ochronnych nie są potrzebne i niepotrzebnie tylko ograniczają tych, co swą gospodarkę łowiecką prowadzą prawidłowo; w tych zaś, gdzie takiego gospodarza brak, skrócony termin polowania go nie zastąpi.

Inaczej się ma sprawa z ptactwem przelotnem, o ochronę którego dotychczas mało się troszczono, a którego postępujące zmniejszanie się liczebne zmusza do zastanowienia się nad jego przyczynami. Tam, gdzie zmniejszenie jest aż nadto widoczne, np. gdy

chodzi o przepiórki, zamknięcie polowania na kilka lat, oczywiście na całym obszarze zarówno gniazdowania jak migracji, byłoby, o ileby się dało powszechnie przeprowadzić, jaknajbardziej wskazane.



Z kniei gościeradowskiej. Fot. P. Kozłowski

Jeszcze inaczej przedstawia się sprawa, jeśli idzie o takie gatunki, które wprawdzie zmniejszają się stale w liczbie, co stwierdza, że w bytowaniu danego gatunku są jakieś braki, ale gdzie to zmniejszanie nie jest jeszcze tak widoczne i przyczyny jego nie są z całą pewnością ustalone. Do takich ptaków należą kaczki i cietrzewie, na samce których poluje się niemal przez cały rok, i gdzie zachodzi także kwestja, czy przyczyną ich ubywania, poza wybijaniem, nie jest nadmierne niepokojenie, przedewszystkiem oczywiście w czasie godów i lęgowym. Tutaj już nie chodzi o przejściowe ustanowienie skróconych terminów polowania celem osiągnięcia poprawy stanu tej zwierzyny, ale o ustanowienie takich terminów, któreby naturze tego ptactwa odpowiadały.

Potrzebne są w tej dziedzinie pewne eksperymenty, nieuniknione są też i błędy. Słusznie też p. inż. L. M. występuje w tej sprawie przeciwko teoretykom i słusznie podkreślając (porusza sprawę ochrony pardw i cietrzewi), że „prawdziwa, istotna przyczyna zanikania pardw i cietrzewi albo nie jest jeszcze wyjaśniona, albo tkwi tam, gdzie żadne czasy ochronne nie pomogą", radzi im za p. Henrykiem Buszyńskim („Łowiec Polski" Nr. 1 z r. b.) pójść w teren i zająć się przedtem hodowlą zwierzyny... a dopiero... zdobywszy już może pewien zasób wiedzy praktycznej podzielić się z nami w prasie fachowej rezultatami tych swoich zdobyczy.

Dotąd wszystko w porządku. Artykuł i poglądy, które z łatwością znalazłyby miejsce w „Łowcu Polskim" bez przypisków redakcji, podobnie jak niema przypisków przy wspomnianym wyżej artykule p Henryka Buszyńskiego, który redakcja z prawdziwą przyjemnością umieściła. Szkoda tylko, że z winy Autora i Redaktora „Słowa Myśliwskiego" po tych słusznych wywodach znalazło się zdanie: „Do słów tych (p. Buszyńskiego) wypadnie chyba tylko dodać wyrazy żalu, że opinje teoretyków nie mających zasobów wiedzy praktycznej przeciążają szalę naszych najwyższych instacyj łowieckich". W ten bowiem sposób całą krytykę, wymierzoną pierwiastkowo pod adresem teoretyków, Sz. Autor i Redaktor „Słowa Myśliwskiego" skierowali, bodaj czy słusznie, pod adresem najwyższych instancji łowieckich, podważając oczywiście ich powagę w oczach czytającego ogółu.

Jeśli się takim tonem pisze i takie zarzuty stawia, to obowiązuje to do dokładnej znajomości przedmiotu.

Otóż nie popełnię niedyskrecji, jeśli oświadczę, że w sprawie terminów ochronnych dla cietrzewi „najwyższe instancje łowieckie" były tych samych poglądów, co Sz. Autor. Jeśli mimo to wnioski ich wypadły inaczej, to tylko dlatego, że, występując do Ministerstwa Rolnictwa o ustanowienie nowych terminów ochronnych dla cietrzewi, „najwyższe instancje łowieckie" rządziły się względami lojalności względem swego Oddziału — „Tow. Łowieckiego Ziem Wschodnich", które takie właśnie wnioski postawiło.

Byliśmy tego zdania, o czem wyraźnie mówiłem niegdyś, ze śp. Bolesławem Świętorzeckim, że Oddziałom Związku przysługuje „prawo błędu" ze względu na istniejącą decentralizację i autonomiczny charakter Oddziałów Związku. Skoro Oddziały czegoś sobie życzą, a nie jest to wyraźnie niezgodne z prawem i statutem Związku, to „najwyższe instancje" w zasadzie nie mogą tego odmówić, choćby w ich oczach było to błędem. I w danym więc wypadku „najwyższe instancje" czuły się w obowiązku poprzeć stanowisko swego Wileńskiego Oddziału, tembardziej, że wobec późnego złożenia wniosku na dyskusje i korespondencje nie było czasu.

Jeśli więc istotnie obecnie ustanowione tytułem próby terminy ochronne dla cietrzewi należy uznać za błędne, to poco obciążać tem „najwyższe instancje łowieckie" wobec opinji publicznej?



P. Hołyński z „Małym". Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz

Dla uniknięcia na przyszłość podobnych błędów byłoby wskazane, aby „pp. inżynierowie L. M." wcześniej zabierali głos w interesujących ich sprawach, a nie wtedy, kiedy ich głos staje się przysłowiową „musztardą po obiedzie" i aby przedewszystkiem we własnym terenie nie dopuszczali do uchwał, będących powodem w następstwie do krytyki z ich strony.

WALENTY GARCZYŃSKI

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

PRZEZ KANAŁ

Tak się złożyło, że do najciekawszych portów, jakie dane nam było oglądać podczas podróży, statek zawijał wieczorem, kiedy na niebie zapalały się zorze i kiedy najżywiej pracuje wyobraźnia. Tak ukazał się nam Neapol, potem Port-Said, Suez i wreszcie Mombasa. Do Adenu tylko Burgmestr wszedł nocą.

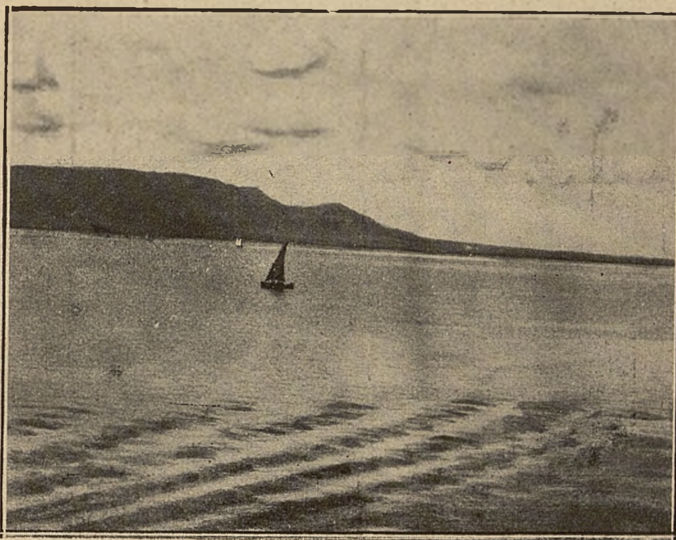
Kiedy byliśmy już blisko przystani, morze było tak spokojne i tak gładkie, a ruch statku tak powolny i tak nieuchwytny, że wydawało się: statek stoi, a płynie na jego spotkanie wyłaniające się z toni miasto. Złudzenie było tem silniejsze, że niskiego brzegu dojrzeć nie można było, a drzewa i domy stały jak gdyby wprost na wodzie.

Na błękitnym ekranie szczegółów przybywało coraz więcej: wieże, maszty, kwadratowe sylwetki domów i czarne pióropusze palm. Słońce zachodziło, kiedy Burgmestr wpłynął między potężne tamy przedłużające brzegi kanału i, jak wielki lej, zabezpieczające głębię jego koryta. Na czerwonem tle płonącej już zorzy, ostro, jak chińskie cienie, czarne, fantastyczne przesuwały się zarysy miasta. Mrok zapadał szybko, wieczór zamieniał się w noc, jak iluminacja, coraz liczniejsze, zapalały się światła.

Na prawo od statku: bulwar i oświetlone, nęcące miasto, na lewo, tonące już w półcieniach nocy: doki portowe, gabary z węglem, statki i sterczące wysoko czarne szkielety żórawi. Pięknej, egzotycznej już panoramy nie są w stanie zepsuć, ani obrzydliwa, świetlna reklama „Pears-Soap", ani ustawiony na brzegu kanału posąg Lesseps'a we fraku. Minęliśmy wielki, jaśniejący elektrycznością statek pasażerski, wychodzący z kanału, jeszcze kilkadziesiąt obrotów śruby: Burgmestr zaryczał, zagrzmiał marsza i stanął. Jeszcze nie umilkła syrena, kiedy podsunęła się od brzegu łódź policyjna i, stanąwszy obok statku, wzbraniała dostępu. Dalej, cisnęły się półkolem łodzie przewoźników, wrzaskiem zalecających swe usługi. Czekały nas jeszcze paszporty i ceremonjał sanitarny. Pan z półksiężycem na czapce, lekarz portowy z sanitarjuszem i — papiery; dużo papierów. Rytuał, na szczęście, trwał niedługo. Możemy lądować. Widząc nas wychodzących, steward uprzedza, żeby kabinę zamknąć dobrze, bo Port-Said (jak wszystkie zresztą porty Lewantu) roi się od złodziei. Jedziemy.

Burgmestr bierze węgiel, co zajmie kilka godzin, mamy więc czas: zakupić możemy pół Port-Saidu zjeść dobry obiad i — powałęsać się trochę. Afryka przecież — Czarny Ląd! Przewozi nas, wiosłując stojąco, wysoki, siwobrody Arab z obliczem proroka, w brunatnym burnusie i w białym zawoju na głowie. W ciemności brudu nie widać, więc postać pełną się być wydaje grandezzy i dostojeństwa. Nasz Burgmestr, widziany z odległości, przedstawia się naprawdę okazale. Zalewając kanał światłem i muzyką, przegląda się zalotnie w ciemnem zwierciadle wody i jest jak wielki pływający pałac. Tak przedstawiać się musiały w noce karnawału pałacu dożów w Wenecji.

Dokoła statku rwetes, krzyk, przekleństwa; u schodków tłoczą się przewoźnicy, walcząc o sześć pensów za przewóz pasażera na brzeg. Ledwie dotknęliśmy kamiennych fliz bulwaru, otoczyła nas zgraja żebraków, domagając się „bakczyszu" t. j. jałmużny. Wyraz ten słyszeliśmy podczas podróży naszej na każdym kroku i przy każdej sposobności. Dawniej, przed wprowadzeniem sprawnej i energicznej policji portowej, żebracy bywali jakoby tak zuchwali, że podróżni zmuszeni byli torować sobie drogę laskami i pokazywać rewolwery. Nad kanałem, na bulwarze: bukiety palm, szereg okazałych budowli, kiosków i nakryty ciężkiemi kopułami, zbudowany w stylu niby wschodnim, świecący teraz, jak latarnia, okazały ale brzydki gmach Zarządu Kanału. Mimo obfitości elektryczności, mimo nowoczesnych budowli i urządzeń, jakich nie powstydziłby się Londyn ani Paryż, i mimo motywów maurytańskich i staroegipskich, których nie szczędzili architekci, przemawia wszystko, że patrzymy na muzułmański wschód.



Z albumu Autora.

Nie chcąc tracić czasu na błądzenie, bierzemy dragomana. Gruby, wąsaty Turek, z urzędową blachą na piersiach, mówi doskonale po francusku i — nie do wiary — nie jest Żydem. Z oczów zresztą patrzy mu skończonym rzezimieszkiem, więc nie łudzimy się ani chwili, że będzie usiłował oszukać nas przy każdej sposobności. Na początek idziemy po kaski i po tytoń. Eskortuje nas nieodstępnie gromada żebraków i niemniej natrętnych przekupniów, częstujących nas szalami przetykanemi srebrem, laskami ze skóry hipopotama, amuletami i przedewszystkiem „wykopaliskami".

Miasto młode, Port-Said jest miastem skrajnych kontrastów: miastem cywilizacji i właściwego Wschodowi, pierwotnego zacofania i brudu. Na głównych ulicach, obok nowoczesnych zupełnie, okazałych domów i hoteli, rzucają się w oczy niskie lepianki bez okien, przed któremi, wśród śmieci i gruzu, pełzają nagie, bronzowe dzieci i włóczą się dojne kozy. Na pustym placu zalanym elektrycznością klęczą rozjuczone wielbłądy przybyłej dopiero co karawany. Po

ulicach brukowanych, jak w stolicach Europy, na tle bogatych wystaw sklepowych, snuje się pstry korowód, na który składają się: turyści, biało ubrane, eleganckie damy europejskie w korkowych hełmach, hałaśliwe gromady półpijanych marynarzy i ciekawy, charakterystyczny tłum miejscowy.



Ś. p. Stanisław Lilpop, towarzysz wyprawy Autora.

Jak na wystawie etnologicznej ludów zamieszkujących wschodnie wybrzeża Morza Śródziemnego, spotykamy Egipcjan, Turków, Syryjczyków, Arabów z Palestyny, czarnych Libijczyków, Ormian i najwięcej Żydów; Lewant cały. Jako ubiór, przeważają długie białe koszule i ciemne burnusy; na głowach turbany, arabskie białe zawoje i płaskie, czarne mycki Żydów. W świetle, jak cienie, przesuwają się, błyszcząc pytającemi oczami, zakwefione czarno muzułmanki. W bocznych, źle oświetlonych uliczkach, które mijamy, między niskiemi domkami, wśród woni obcych dla nozdrzy białego z Europy, roi się niezrozumiałe, niedostępne mrowie tubylców. Z ciemnych zaułków, wypatrując czy nie zagraża policjant, wysuwają się ukradkiem podejrzane, trwożliwe postacie i ofiarują się szeptem na przewodników. Z domków wychodzą na nasze spotkanie zakwefione i odsłonięte damy miejscowe, niedwuznaczną mimiką zapraszając do wnętrza.

Już na wstępie mamy próbkę uczciwości naszego numerowanego cicerone, który, zamiast pod wskazany adres, prowadzić nas próbuje do brudnych kramików egipskich, w których oszukać nas byłoby łatwiej. Ostra i niezupełnie salonowa przestroga jednak otwiera mu oczy. W dużym, luksusowym bazarze p. Simona Arzta (zwyczajnie Symcha Doktór), w doskonałym wyborze, znajdujemy istotnie wszystko, czego szukamy. Obok przyborów podróżnych używanych pod zwrotnikami, jak kaski korkowe wyrabiane w Indjach, podwójne kapelusze filcowe, meble i sprzęt obozowy, naczynia i nakrycia stołowe, filtry i t. p. i t. p., dostać tam można dobre konserwy nawet i wszelkie, „pamiątki" z najszerszego świata, przywożone chętnie przez podróżnych dla rodzin i dla znajomych. Rozłożone na stołach, rzucają się w oczy: osobliwe, wzorzyste desenie tkanin i mat z nad Gangesu, arabska broń i hafty, egzotyczne wyroby z miedzi, złote filigrany murzyńskie, korale i — powódź japońszczyzny. Część wystawionych towarów jest autentyczna, inne czuć Hamburgiem o milę. Dużo piór strusich, które, jak objaśnia nas sprzedający, „specjalnością" są bazaru. Brzydsze jednak i bodaj nie tańsze, niż na bulwarach w Paryżu. Papierosów i tytoni wybór nadzwyczajny; tytoń koloru złota, ze skrzyni, na wagę, sprzedawany jest jak makaron. Robimy zapas na czas wyprawy. Zakupy obiecują odesłać na statek niezwłocznie. Po wyjściu z bazaru, kiedy rozważamy co robić będziemy przed obiadem, spotyka nas, miła nad wyraz, nieoczekiwana chwila radości; jak jedno jeszcze pożegnanie, jak dobra wróżba. Na głównej ulicy, nad oświetlonem suto wejściem do kinematografu, wielki, ozdobny napis: „*Quo vadis*" *by H. Sienkiewicz celebrated Polish author.* Spojrzeliśmy na siebie i, nic nie mówiąc, zrozumieliśmy się. Wdzięczność mieliśmy w sercach. Więc znają Go tutaj, wiedzą, że istniejemy. W milczeniu poszliśmy dalej.

W paradnej sali restauracji hotelowej „Eastern-Exchange" doskonały obiad i myśliwska, strzelająca butelka za powodzenie wyprawy; na szereg dni ostatni obiad bez tysięcy stóp głębi pod nogami. Mimo wypisanej na jadłospisie daty 11 grudnia, okna otwarte szeroko, jak u nas w końcu maja albo w czerwcu.

Służba ustrojona egzotycznie: fezy, czerwone, szamerowane kaftany i szerokie, białe szarawary. Naszym stołem opiekuje się wspaniały Albańczyk, chrześcijanin, mówiący po francusku. Pracował dawniej w Konstantynopolu, skąd uciekać musiał, kiedy nastały czasy Młodoturków i — konstytucji. Pięknym potrafi być świat! Upewniwszy się telefonem, że statek nie odejdzie prędzej, jak za trzy godziny, idziemy na miasto, do kawiarni, zobaczyć nocne życie ulicy. Usiedliśmy na tarasie, gdzie w jednej chwili otoczył nas tłum żebraków, przekupniów i kuglarzy, z których Egipt słynie. Jeden z tych ostatnich, wyrostek najwyżej piętnastoletni, był w rzeczy samej niedościgniony; zręczniejszego w życiu nie widziałem.

Prócz znanych, a produkowanych powszechnie „sztuk" z kubkami, wstążkami i t. p., eskamotuje laski, połyka długie na pół metra, żywe węże, które wyciąga sobie potem z ucha, a nadewszystko z nieporównaną zręcznością wyciąga z gardła dziesiątki ruszających się żywo, maleńkich kurcząt, ledwie wyszłych z jaja. Oglądać je można w koszyku, do którego je wpuszcza. Jak na „czarnoksiężnika" przystało, powtarza wciąż rytualne: „gale — gale — gale". Przy sąsiednim stoliku dwie angielskie panie oglądają wachlarze ze strusich piór. Największem jednak powodzeniem cieszą się amulety i „wykopaliska". Kiedy nadchodzi policjant, tłum pierzcha, jak stado wróbli na widok jastrzębia. Po chwili zresztą handlu-

jemy dalej. Jako całość, obraz niezrównanego charakteru. Jedenasta — czas na statek. Na pożegnanie nasz Turek oszukać nas próbuje ostatni raz, dowodząc, że należy mu się za dwie godziny, które czekał (?) na statek.

Przyszliśmy za wcześnie; ładują węgiel w najlepsze. Po kładkach przerzuconych z gabaru portowego na statek, szeregiem, jak mrówki, płynie, mijając się, nieprzerwany sznur tragarzy dźwigających węgiel na statek i wracających z pustemi koszami na gabar, po nowy ładunek. Jak pracujący elewator. A ten biedny Burgmestr, taki zawsze czysty, świecący — brudny teraz, czarny, jak kominiarz! Na szczęście nie braknie wody. Prócz węgla zabieramy potężny reflektor, bez którego płynąć w nocy przez kanał niewolno. Ustawiają go właśnie na przodzie statku i próbują, rzucając błyskawice oświecające przystań całą. Długo jeszcze słyszeliśmy w ciszy nocnej łoskot brył zrzucanych do wnętrza statku. Sen przyszedł dopiero, kiedy statek ruszył w drogę.

Kiedy w jasny, ciepły poranek wyszliśmy na pokład, statek był dawno już na kanale. „Jak każda prawdziwa wielkość, kanał przedstawia się skromnie" — mówi Sienkiewicz. Jeżeli jednak popróbujemy ogarnąć myślą ogrom pracy i wytrwałości, jaki w dzieło to włożono, patrzący doznaje oszołomienia. Myśl sama nową nie była. Faraonowie już w czternastym wieku przed naszą erą zamierzali połączyć Morze Śródziemne z Czerwonem, a nawet rozpocząto roboty. Ówczesne środki techniczne jednak, które starczyły, aby wznieść Sfinksa i piramidy, zawiodły, kiedy chodziło o międzymorze; roboty przerwano. Projekt spał trzydzieści wieków, aż zbudził go i wcielił w życie genjusz rasy romańskiej. Morza, rozdzielone od początku świata, zlały się w jedno. Bajeczna droga do Indji, o której marzyli, której poszukiwali tak uparcie żeglarze średniowiecza, stała się rzeczywistością.

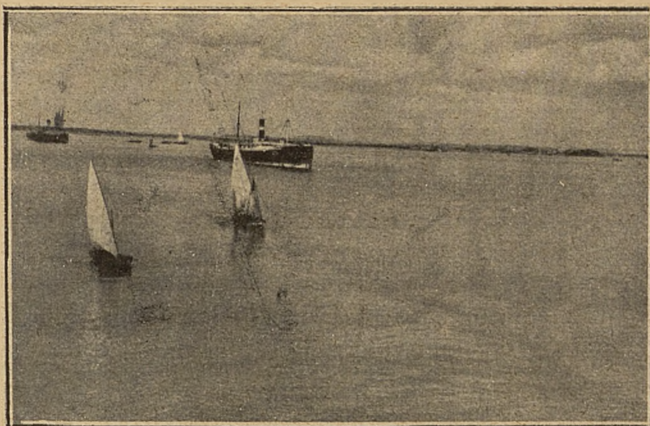
Trudności, jakie wypadło przezwyciężyć, były, wobec współczesnej techniki, olbrzymie. Piaski i trzęsawiska, z któremi walczono, pochłaniały ludzi i złoto bez miary. Sprowadzono armje całe kopaczy, zbudowano dla nich miasta baraków, dwadzieścia tysięcy wielbłądów nosiło wodę do picia, której brakowało na miejscu; roboty prowadzono na kilkunastu odcinkach równocześnie. O skali rozmachu świadczą wymownie cyfry. Ażeby otworzyć drogę przez jedno tylko piasczyste wzgórze pod Izmailą, usunąć wypadło piętnaście miljonów metrów sześciennych piasku, a to jeden kilometr kanału zaledwie — na sto sześćdziesiąt dwa.

Roboty trwały lat dziesięć, aż w tytanicznej tej walce zwyciężył człowiek. Jedno z największych dzieł, na jakie ośmieliła się porwać ludzka mrówka, zostało dokonane. Myśl, twórcę i złoto dała Francja; Lesseps okrył chwałą naród swój cały, jego imię powtarzał z podziwem świat. Zaproszony uroczyście przez khedywa na obchód otwarcia kanału, zjechał dwór: Napoleon, jaśniejąca pięknością Eugenja i dygnitarze. Khedywem Egiptu był wówczas słynący ze zbytków i rozrzutności Ismael Pasza. Festyny ciągnęły się tygodniami wśród przepychu, jakiego nie oglądał Egipt od czasu Faraonów.

Sfinks pamiętał, że przepych podobny i gości w koronach widział już, kiedy podejmowano w Egipcie władców Niniwy i Babilonu. Widział wówczas, patrzył teraz i rozmawiał z miesiącem. W rok po otwarciu kanału przyszedł Sedan.

*

Walka jednak, jaką wypowiedziano pustyni przekopując kanał, skończoną nie jest i nie będzie nigdy. Siła wszechświata, którą pogwałcono, mści się i usiłuje zniszczyć dzieło człowieka. Gwałtowne, suche wichry, które rodzą się na niezmierzonych pustyniach Arabji, przynosząc wciąż tumany piasku, zasypujące kanał. Z wrogiem tym, zawziętym, nieubłaganym, walczyć trzeba nieustannie i oczyszczać dno kanału.



Z albumu Autora.

Ogromne bagiery pracują bez wytchnienia i usuwają piasek. Pierwotnie głębokość wynosiła 8 metrów tylko, następnie jednak kanał pogłębiono i dziś przebywać go mogą najcięższe dreadnoughty. Utrzymanie sprawności drogi, t. j. nieustające roboty i niezliczony personel wszelkich kategoryj, sumy pochłaniają olbrzymie, odpowiednio wysoka też jest opłata za użytkowanie kanału. Nasz Burgmestr n. p. ze swemi sześciu tysiącami tonn zapłacił za spacer z Port-Saidu do Suezu pokaźną sumę 60 tysięcy franków. Jak każdy monopol, kanał dochody daje, mimo wielkich kosztów eksploatacji, ogromne; dywidenda 50 a nawet 60% zjawiskiem jest zwykłem.

W przewidywaniu gorąca, w strefę którego wejść mamy lada chwila, statek wygląd przybrał podzwrotnikowy. Pokłady spacerowe nakryto dachem z płótna, część podróżnych wystąpiła w białych kostjumach i hełmach od słońca na głowach. W kabinach ustawiono elektryczne wentylatory, do stołu po raz pierwszy podano wodę mrożoną. Tymczasem było ledwie ciepło, jak w piękne dni na Rivierze. Kto żyw na pokładzie, wszyscy chcą widzieć kanał i Egipt. Jak dotąd jest to najprzyjemniejsza i najciekawsza część podróży.

Przed statkiem, między groblami z piasku, jak okiem sięgnąć, ucieka za horyzont prosta, błyszcząca wstęga kanału. Na prawo, po afrykańskiej stronie, krajobraz urozmaicony, jak w kalejdoskopie. Mijamy płowe przestrzenie piasków, oazy, kanały pełne wody, rajskie ogrody, gaje figowców, palm i magnolj', zielone szmaty uprawnych pól, nędzne lepianki, wreszcie, wille i minarety. Na polach pasą się stada kóz i wielbłądów, rolę uprawiają pół nadzy krajowcy i ubrane czarno kobiety. Na mieliznach i rozlewach jeziora, przez które przechodzi kanał, żerują tysiącami czajki, kuligi, nasze bociany, różowe, wysmukłe czerwonaki i święte ibisy. Na brzegach słonych ba-

gien, gdzie woda ustępując pozostawiła sól, ziemia błyszczy w promieniach, jak gdyby pokrywał ją szron. Potem znów, jak przekleństwo, wracały przestrzenie pustyni pokrytej piaskiem. Zdziwił nas wyrosły nad brzegiem kanału, nieoczekiwany w tym krajobrazie, lasek iglasty, pachnący żywicą, jak w lipcu na Podlasiu. Potem pojawił się, rażący jak paradoks, czarny pociąg drogi żelaznej, sunący przez żółte piaski, pustkowia i znowu pola, ogrody, gaje i piaski. Co dwa kilometry, w gąszczu magnolji, białe domki strażnicze z semaforem i sygnałami, a przed domkami bawią się w piasku, ubrane niby dzieci białych i nagie zupełnie, opalone, jak najczarniejsze cyganięta, dzieci tubylców. Spotkaliśmy idący naprzeciw wielki transportowy parowiec angielski, wiozący wojsko z kolonji. Literalnie pokryty żołnierzami odzianymi w khaki, cisnącymi się na pokładach i wiszącymi na burtach, na kładkach, na rejach, statek wyglądał jak gdyby obsiadły go szare ptaki.



Z albumu Autora.

Żywa ciekawość, jaką budzą w podróżnych krajobrazy na egipskiej stronie kanału, ustępuje miejsca poczuciu lęku i grozy, jeżeli odwrócić się i spojrzeć na umarłe brzegi Arabji.

Od Port-Saidu do Suezu, jak sięgnąć okiem, w oślepiającym, morderczym blasku, przeraźliwie jednostajna, ciągnie się na całej tej przestrzeni pustynia.

Strasznym bywa pożar; straszną zawieja śnieżna, gdy pochwyci nocą wśród bezdroży; straszną burza na morzu, kiedy rzucać pocznie okrętem rozżarty Ocean! W beznadziejnej swej, milczącej grozie jednak straszniejszą jeszcze jest pustynia.

Na pustyni pojęcie śmierci jest czemś nieledwie widzialnem, dotykalnem. Nie codziennej, zwykłej śmierci, z którą walczyć można, a śmierci nieubłaganej, nieodwołalnej, która zabija wszystko — nawet nadzieję; śmierci, która tam mieszka i której nie ostało się nic: ani człowiek, ani ptak, ani roślina, ani choćby ślad po życiu tylko.

Nic tam niema, nic! Spalone piaski, rumowiska głazów, na niebie wieczne słońce i dokoła — śmierć.

Najstarsze, najwięcej opuszczone cmentarzysko nie daje tego poczucia nicości i końca. Na każdym cmentarzu, na każdej mogile, choć nikłe, choć zatarte, pozostają jednak ślady życia, ślady istnień, które b y ł y zanim umarły; istnień, na które składały się i walka, i miłość, i cierpienie; ślady istot, które żyły, zanim pozostało po nich cmentarzysko.

Na pustyni śladów takich niema żadnych. Tam początek był już końcem i zaprzeczeniem życia, tam od stworzenia świata, od stworzenia życia, niepodzielnie panuje tylko śmierć.

W istocie swej wewnętrznej przerażająco prosta, zawsze równie okrutna, równie niemiłosierna, pustynia zmienia tylko zewnętrzną swą szatę: złota za dnia, w blasku słońca — srebrna nocą, kiedy zaświeci miesiąc — krwawo czerwieni się o zachodzie. Raz pomarszczona i falująca, jak skamieniała toń morza, to znów podarta, poszarpana, jak gdyby przed skonaniem, ziemia wiła się tam długo w konwulsjach.

Gdzie pustynia jest kamienista, zawalona głazami, gdzie sterczą z pośród piasków skaliste złomy, tam chaos przypomina niekiedy ruiny miasta, widziane zdaleka: zdaleka tylko, bo zbliska złudzenie to od pierwszego wejrzenia znika. Zbliżywszy się, podróżny widzi, że ruiny te miastem nie były i nie żyły nigdy.

Szczególnie przygnębiająco działa na pustyni widok płaszczyzny, kiedy martwa, jednostajna, rozpościera się w nieskończoność bez celu i bez granic, na których zatrzymałby się wzrok, tonący w przestrzeni. Nikłe ślady nawet, jakie wyciska na piasku stopa podróżnego, zaciera wiatr i dokoła, wiecznie ta sama, skamieniała w swej grozie, śpi snem nieprzespanym równina śmierci. Umarła równina, nad nią białe, szkliste niebo i pod niebem tem, w najprostszym swym wyrazie, poczucie nicości i lęku.

Bóstwo dobrego — słońce, błogosławione źródło światła i życia, witane wszędzie z radością, jest na pustyni mordercą, rzucającym ogień i zagładę na wszystko żywe.

Już blisko Suezu, w szczerej pustyni, rozpościerającej się tam po obu stronach kanału, uderzył mnie obraz, którego nie zapomnę nigdy. Godzina była wieczorna, w przestrzeni cisza i smutek dnia, który kona. Od gasnących promieni zachodu rumieniły się już piaski, kiedy na widnokręgu ukazały się dwa wielbłądy, idące w stronę kanału. To ginąc między zaspami piasku, to pojawiając się znowu na tle nieba, jak sylwetki, zwierzęta, zdrożone widocznie, szły wolno, posuwając się ledwie, jak mrówki. Przez szkła rozpoznać można było siedzące na ich grzbietach owinięte ciemno, zakapturzone postacie jeźdźców. Wielbłądy nadciągały z tajemniczej głębi pustyni, z okolic, które odgadnąć napróżno siliła się wyobraźnia. Od obrazu tego na patrzącego szło poczucie odległości, samotności i niezmiernej pustki.

U studni, nad brzegiem, wielbłądy przypadły do ziemi. Ludzie w kapturach zsiedli i poprowadzili je do wody. Wyciągając długie szyje, zwierzęta piły i piły bez końca, a ciemno odziane postacie klęczały na piasku, twarzami na Wschód, modliły się i, wznosząc ręce, biły czołem.

Islam cały i cała dusza, cały czar pustyni, były w tym obrazie: nieobjęte przestrzenie piasków spalonych słońcem, spragnione wielbłądy i wieczorna modlitwa synów pustyni.

W pamięci wstawały rysunki Gustawa Doré, Stary Testament i arabskie bajki z dzieciństwa.

Statek był już daleko, a nad brzegiem, wciąż jeszcze widać było wielbłądy, które piły, i modlących się kornie Arabów.

(C. d. n.) STANISŁAW ZABOROWSKI

PO PONOWIE NA WILKI

Nie jest żadną sztuką strzelać wilki, kiedy obecnie bardzo modnym, ale oklepanym sposobem są one osznurowane przez straż łowiecką, często w dwa rzędy sznurów, i czekają na przyjazd gości z dalekich nawet stron. Są często dosyć głupie, gdyż pozostają w sznurach do 20 i więcej godzin od chwili ich osznurowania. Tylko więcej bywałe, to jest takie, które już poznały smak ten na własnej skórze, ale szczęśliwie „wymigały się", są czujniejsze i nieraz wiele kłopotu i niespodzianek sprawiają mniej sprawnej straży leśnej, wychodząc z miotu jeszcze przed całkowitem osznurowaniem ostępu, kiedy np. pozostało zaledwie 100—200 mtr. do zamknięcia sznurów, lub nawet już osznurowane; nagle, w ciągu nocy, najczęściej nad ranem, opuszczają zdradliwy miot.

Znam takich wypadków dużo, kiedy już nie dało się nawet odwołać zawiadomionych i przyjeżdżających z miasta gości, a dowiadywali się od speszonych gajowych, że: „proszę panów wilcy wyszedłszy z nocy". Naturalnie miny przyjezdnych gości po tem oświadczeniu bardzo były kwaśne i dużo soczystych słów padało pod adresem — nie wiem dlaczego — wilków, a także straży leśnej.

Mnie to dosyć śmieszyło i na pocieszenie tym panom zawsze przypominałem pewne przysłowie, zaznaczając, że często ono jednak się nie sprawdza: „nosił wilk, ponieśli i wilka"! Bo apetyty tych naszych obecnych łowców, co to nie sieją i nie orzą, a tylko za wszystko dobrze płacą, są bardzo wielkie, szczególnie na taką zwierzynę, jak wilk.

Niema prawie obecnie prywatnego łowiska na ziemiach wschodnich, niema kółka, czy też klubu łowieckiego, gdzieby nie mieli kompletu sznurów na wilki. Również prawie wszystkie nadleśnictwa lasów państwowych na tych ziemiach zaopatrzone są w sznury. Żeby zwabić do siebie wilki, prawie wszędzie też teraz kupują i kładą padłe konie, to też naogół wilki mają pożywienia dosyć w okresie zimowym, ale muszą też pilnować swojej skóry dobrze, bo amatorów na nią jest wielu.

Nie powiem, żeby tego rodzaju polowanie mnie naogół się podobało, chociaż polowania na wilki na śniegu zaliczam do jednych z najładniejszych. Tylko nie takie, gdzie już się przyjeżdża na gotowe, ciągnie się numerki, wskazują stanowisko i zaczyna się pędzenie, a wkrótce też padają strzały, o ile naturalnie w miocie są jednak wilki. Bo i takie zaimprowizowane na niby otropione i osznurowane wilki polowania widziałem, gdzie przez dobrych parę godzin, na mrozie i silnym wietrze, „publika" cierpliwie czekała na stanowiskach, marznąc na kość, żeby później usłyszeć, że wilki tylko co wyszły przed przybyciem naganki. Sam później po tej całej „uroczystości", przez ciekawość tylko, objechałem sankami z głównym tropicielem cały ten miot i stwierdziłem, że wilków wogóle w miocie nie było i towarzystwo zostało oszukane, ale o tem nic nie wiedziało. Kiedy potem zwymyślałem tego specjalistę od tropienia, przyznał się, że musiał to zrobić, gdyż kazano mu urządzić na wilki polowanie t e g o d n i a k o n i e c z n i e, z powodu przyjazdu różnych wysokich dygnitarzy.

Nazajutrz tenże typ otropił gładko dwa wilki i już bez sznurów, bez wielkiej naganki, tylko w 3 strzelby, wystawił oba na strzał, z których i ja jednego strzeliłem.

Nie można nawet przekonać panów łowczych i innych wodzirejów takiej imprezy, żeby chociaż od linji zajętej przez strzelców opuszczano sznury z chorągiewkami, dając w ten sposób wilkom chociaż małe szanse wyjścia z tej matni. A tak robi to wrażenie nie polowania, a mordowania zamkniętych w 2-ch rzędach sznurów i pędzonych przez naganke wilków! W takich warunkach rzadko kiedy jakiś wilk uchodzi zdrowy i cały, najczęściej, jeżeli nie padnie na miejscu, lub nie dobijają go, przerywa się przez sznury, farbując mocno. O ile nie ginie gdzieś w męczarniach, w najbliższych dniach, a rany są powierzchowne, to wyliże się prędko. No, wtedy takiego już w sznury żaden nawet djabeł więcej nie złowi.



Trop wilka. Fot. A. Gmerek.

Ja uważam, iż prawdziwego myśliwego takie polowania nie mogą i nie powinny pociągać, bo rola jego sprowadza się tylko do strzelania, no a strzał do takiej sztuki, jak wilk, chyba nawet i dla średniego strzelca nie może być trudny?

Od wielu już lat u siebie poluję na wilki tylko na śniegu i zupełnie inaczej, bez żadnych do tego sznurów, bez wielu pomocników i bez wielkiego hałasu. Oto jedno z tych moich ostatnich polowań.

Było to już podczas rui, wilki stale były w ruchu i wędrowały to tu, to tam. Często tam, gdzie ich najmniej można było się spodziewać, raptem niespodzianie zalegały. Po ilości sztuk będących razem, a często nawet po wielkości tropów, można było poznać, jakie to są wilki i skąd pochodzą. Śnieg już zaczął prószyć zwieczora, a w nocy padał dobrze, spokojnie, bez wiatru. Ze słów strażnika Józefa, który zjawił się do mnie z meldunkiem o pogodzie, sporo przed świtem, dowiedziałem się, iż zanosi się na dobrą ponowę, gdyż obecne śnieg przestał padać, a do świtu jeszcze conajmniej dobra godzina, więc tropów nie będzie dużo, tylko te ostatnie, przed położeniem się zwierza. Wy-

dałem szczegółowe zarządzenia co do dzisiejszego wyjazdu, a po wyjściu strażnika zacząłem powoli się ubierać. Już wczoraj zwieczora byłem prawie przygotowany do ewentualnego wyjazdu na polowanie, więc po spożyciu śniadania, byłem zupełnie gotów do drogi.

Wyszedłem na ganek. Biało, wszędzie leży świeży śnieg i sporo go jest, cisza zupełna, termometr wskazuje —3°. Może być cudna pogoda, żeby tylko ze dniem znowu nie zaczęło sypać! Wkrótce i sanki już podeszły pod ganek. W jednych jadę ja z chłopcem stajennym Frankiem, w drugich sam strażnik Józef. Do kniei, gdzie mieliśmy tropić dzisiaj wilki, było przeszło 3 klm.



Oczekiwanie. Fot. W. Makowski.

Po wyjeździe z domu, już będąc w polu, stwierdziłem, iż pogoda była jakby wymarzona do tego rodzaju polowania. Tropów nie było dużo, jak to przewidywałem, ale zato jakie wyraźne, świeże! Przejeżdżając ostatnią wieś przed wjazdem do lasów, dowiedzieliśmy się od tamtejszego gajowego, iż tej nocy wilki podkopały się do jednego chlewu, skąd wyciągnęły dwie owce, pozatem zabrały jeszcze najzłośliwszego kundla, który przez kilka lat uchodził wśród miejscowych włościan za postrach na wilki. Kiedy w jednym roku w zimie wszystkie psy pokolei z tej wsi wilki zabrały, ten rzeczywiście pozostał nietknięty. Psa tego i my znaliśmy dobrze, gdyż stale, kiedy przejeżdżaliśmy przez wieś, najdłużej nas napastował i najdalej odprowadzał, tak że strażnik mój zawsze mu życzył gwarą tutejszą: „kab ciebie wołki zjeli". Wkońcu jednak to się sprawdziło i teraz jego były właściciel pokazał nam wszystko, co po tym kundlu pozostało: sam koniec kosmatego ogona! Oburzenie gospodarzy było wielkie z powodu tych nocnych odwiedzin wilczych, a widząc, że jedziemy na polowanie, ofiarowywali się zaraz pójść na nagankę, żeby tylko wystrzelać tych rabusiów. Ja jednak dzisiaj nie chciałem skorzystać z ich usług i powiedziałem, że będę polował sam.

Wiadomość o wilkach bardzo nas ucieszyła, gdyż spodziewaliśmy się przy takiej ponowie gdzieś jeszcze niezbyt daleko je wytropić. Strażnik zapytał, czy nie zabrać z sobą paru sprytnych chłopaków, którzy aż się rwą, żeby z nami jechać. Zgodziłem się jednak tylko na jednego, syna gajowego, którego posłałem do sanek strażnika.

Podjeżdżając do lasów, zatrzymaliśmy się, żeby zdecydować, w jakim porządku będziemy objeżdżali mioty i który weźmiemy pierwszy. Mioty te były nam dobrze znane, mieliśmy ich w pierwszej kolejce cztery, wszystkie dosyć wygodne do objazdu z powodu przecinających je dróg i tryb oddziałowych. Wilki tutaj nieraz były otrapiane i strzelane, więc znałem wszystkie przesmyki, a także każdy pień prawie i krzaczek. Czasu mieliśmy dosyć, gdyż dochodziła dopiero godzina ósma.

Po wypaleniu fajki wyznaczyłem miejsce spotkania po pierwszym miocie i rozjechaliśmy się — każdy w swoją stronę. Strażnik pojechał w lewo od samej granicy, ja w prawo, w głąb lasu.

Już wjechałem do miotu i odrazu oczarowała mnie knieja po ponowie — wszystko jak z bajki. Jest jakaś tajemnicza i niezbadana, a równocześnie nęcąca i uśmiechająca się bielą dziewiczego śniegu, który jednak odkrywa przed myśliwym częściowo niektóre tajniki minionej nocy zimowej. Bielaki i lisy dobrze jeszcze przed świtem pochodziły; lisie ślady są tak świeże i wyraźne, jakby w tej chwili dopiero mykita przeszedł. Dzisiaj zostawiam je w spokoju, gdyż szukam innych, trochę większych! O, coś dużego przeszło! Zatrzymuję sanie, patrzę i nie chcę jeszcze wierzyć. Tak, to są ślady wilcze, ale nocne, kiedy jeszcze śnieg padał, trochę przyprószone. Weszły do naszego miotu i poszły drogą w głąb tego miotu. Czy wyszły z niego, dopiero się dowiem po spotkaniu ze strażnikiem; w każdym razie poszły w kierunku, dokąd pojechał mój pomocnik.

Jadę dalej drogą po tych tropach wilków, ale w odwrotnym kierunku, patrzę i pilnuję, kiedy i skąd weszły na nią. Widać, że szła grupa dobra, nie jeden i nie dwa, ale jakże artystycznie trop w trop. Otóż i załamanie drogi i skrzyżowanie, tutaj widzę tylko pozostawione ich „bilety wizytowe", a więcej nic. Muszę zawracać drogą w lewo, a one przyszły drogą wprost. Nad ilością ich nie będę łamał głowy, wiem tylko skąd szły i co to za stadko. Teraz szybko pędzę, podjeżdżam na umówione miejsce, narożny kopiec już jest, ale strażnika jeszcze niema, zresztą on się zawsze spóźnia. A może ma coś ważnego do rozwiązania tym razem?

Czekam i rozmyślam, czy wilki przecięły nasz miot i poszły sobie dalej? Pewno jednak tak będzie, miały jeszcze dużo czasu do świtu, pozatem nie wierzę w tak szybkie otropienie ich już w pierwszym miocie. Pokazały się sanki strażnika na zakręcie drogi, wali szybko do mnie i często podpędza konia. Coś jednak jest, ma do powiedzenia pewno coś ważnego.

Już dojechał, wyskakuje z sanek i biegnie do mnie. Jest podniecony i przejęty, poznaję to zaraz, więc rzucam krótkie pytanie: czy wilki wyszły z tego miotu? Odpowiada, iż sam nie wie, starał się to rozwiązać, ale tam znalazł takie weselisko, nadeptano tyle śladów i to na samej trybie granicznej, po obu jej stronach, że nic nie mógł zrozumieć, przypuszcza jednak, iż to stado poszło dalej główną drogą. Prosi przytem, żebym pojechał sam na to miejsce, celem zbadania. Jedziemy więc na miejsce wilczych wesel-

nych godów! Stop, jesteśmy już, sanki zostawiamy na drodze i pieszo idę ze strażnikiem trybą graniczną. Tak, tropów wilczych, jak baranich na okólniku! Badam cały ten teren szczegółowo, robię coraz większe koła, sprawdzam ślady, no i dochodzę jednak, chociaż ze smutkiem, do przekonania, że całe to towarzystwo weselne jeszcze nad ranem poszło dalej główną drogą, na młodniaki wioskowe i dalej w kierunku większych kompleksów lasów prywatnych.

Pojechałem ze strażnikiem tą drogą dalej, jakieś dwa kilometry i stwierdziłem, że wilki przez cały czas szły nią, nie zbaczając na inne i nie schodząc z niej zupełnie, a trzymając kierunek na wspomniane już lasy. To trochę już sprawę całą komplikowało — nie na wszystkie te lasy miałem prawo polowania. Jednak stale myśl moja wracała do miejsca tego ich weseliska, które już przedtem raz badałem. A może coś tam jeszcze zostało? Blisko przylega taki ładny świerkowy gąszcz! Nie, trzeba jeszcze raz dobrze zbadać i odczytać na tej mapie tak poplątanej i dlatego trudnej — lecz jakże bardzo ciekawej — opowieść o niedawnych jeszcze wilczych amorach.

Zawracamy więc, szybko jedziemy z powrotem i jesteśmy znowu na tem samem miejscu. Całą uwagę teraz mam skierowaną na zwarty, gęsty świerkowy młodniak. Robię w tym kierunku mniejsze, większe koła, liczę tropy, dodaję, skreślam. Chodzę cicho, jak duch, chodzę sam, żeby mi nikt nie przeszkadzał, staję, wciągam nawet powietrze — nic nie czuję. No i cóż pozostaje na papierku z tych tropów? Owszem pozostało trochę — to już wystarczy — i raptem zrobiło mi się jakoś wesoło na duszy. Myślę inaczej już: są wilki tutaj, muszą być i będą! Nie chcę myśleć już nawet ile, może dwa, trzy — wystarczy tego dla mnie.

Odetchnąłem głęboko i z wielką ulgą, jakbym rozwiązał okropnie trudne zadanie taktyczne. Niema już teraz czasu na myślenie, wracam do sanek, daję znak strażnikowi, żeby szedł do mnie. Wykładam mu cały plan działania możliwie krótko i prosto. Widzę i czuję, że nie wierzy w powodzenie, ale jest trochę odurzony mojemi wywodami. Jakie są nasze siły? Jest nas 4-ch, niedużo, ale jak będzie szczęście, to wystarczy.

Sprawdzamy zegarki — jest obecnie godzina 10.45. Ponieważ tylko strażnik może możliwie dobrze wykonać pędzenie i ruszyć delikatnie wilki z legowiska, a dwaj chłopcy mogą być jego łącznikami po bokach, więc stanowisko może być tylko jedno, które wybiorę sobie sam. Jeszcze krótkie ostatnie instrukcje — podaję moje stanowisko i kierunek pędzenia, oraz dokładny czas kiedy ruszyć, pozatem sygnał ruszenia z miejsca. Rozstajemy się, siadam sam do swoich sanek i ruszam ostro; wkrótce dojeżdżam do swojego stanowiska.

Nie jest dobrze, miejsca conajmniej na trzy strzelby, a na dwie koniecznie, tymczasem jest tylko jedna. Zawracam konia z sankami z powrotem i zostawiam go w prawo odemnie po dróżce, o jakieś 250 kroków w sosnowym borze — niech markuje stanowisko! Sam wracam na swoje miejsce, staję na załamaniu dróżki pod kątem prostym. W prawo mam widok otwarty w kierunku sanek, przed sobą też bór na jakieś 150 kroków, dalej w głębi zaczyna się gęsty świerkowy młodniak, skąd ewentualnie mogą pokazać się wilki, w lewo też bór, ale już z podszyciem niezbyt gęstem. Maskuję się do połowy młodym świerkiem zasypanym śniegiem, patrzę na zegarek — pozostało jeszcze pięć minut do ruszenia strażnika w miot. Jestem gotów, wszystko co było w mojej mocy zrobiłem, niczego nie zapomniałem — teraz niech się dzieje wola św. Huberta.

Wtem usłyszałem daleki sygnał trąbki — zamarłem w sobie i wpatrzyłem się przed siebie w niedaleki gąszcz świerkowy. Dłuższa znowu cisza, już przeszło 10 minut od chwili usłyszenia sygnału. Zaczynam już trochę wątpić w możliwość ujrzenia w tym miocie wilków! Zwracam wzrok w prawo, gdzie mam takie duże pole widzenia i — cóż widzę? Jak we śnie, na tle pięknego, rzadkiego boru, biegnie spokojnie truchtem wilk. Gorąco się zrobiło naraz i ulga przyszła też wielka. A jednak jest otropiony prawidłowo! W pewnej chwili wilk zatrzymuje się, patrzy w kierunku sań i konia, poczem rusza spokojnie dalej. Odległość odemnie około 200 kroków, a więc poza strzałem. Tak byłem zasugestjonowany widokiem tego biegnącego wilka, że wzrok miałem prawie cały czas zwrócony w tym jednym kierunku.



Z Kółka Łow. Garn. K. O. P. „Podświle". Fot. Dr. A. Gmerek.

Wtem przyszła myśl — czy to tylko ten jeden będzie wilk? Jeszcze widzę, ale już daleko, tego biegnącego wilka! Raptem jakaś siła odwróciła moją głowę w lewo. I cóż zobaczyłem na moment? Drugiego wilka, który, wyskoczywszy na dróżkę, widocznie zauważył mnie, więc robi desperacki zwrot w prawo, żeby rzucić się w bok. W tym właśnie zwrocie chwytam go błyskawicznie rzutowym strzałem, po którym wilk upada na pysk, próbując jeszcze parę razy wstać, a po chwili zamiera w bezruchu. Nic już więcej nie widzę, tak jestem przejęty temi przeżyciami przed chwilą oraz tym cudnym strzałem, który uwieńczył wszystkie nasze wspólne trudy i moje marzenia dzisiejsze.

A mogło być bardzo źle — jeszcze dwie, trzy sekundy obserwowania pierwszego wilka, a ten co leży już, mógł być uratowany. Ostatni był czas, kiedy zobaczyłem tego drugiego! Słyszę już uderzanie kijami po drzewach, widzę idącego szybko strażnika, daję mu znak — zauważył — biegnie do mnie i pyta o wilka, ale już go ujrzał leżącego, więc podrzuca czapkę w górę z radości.

Sprawdzamy teraz odległość, na którą strzelałem — jest dobrych 58 kroków. Zwierz dostał na komorę,

a także w głowę. Ładna wilczyca: jasna, bez rudego podbicia, z ciemnym pasem przez grzbiet. Strażnik opowiada, iż idąc śladem znalazł w samym gąszczu legowiska, wysłane gałęziami świerkowemi.

Trzeba oblać tak szczęśliwy dla nas finał, przepijam więc do mojego pomocnika, poczem nalewam mu całą manierkę, którą opróżnia szybko. Opowiadaniom nie było końca, każdy miał ich sporo, ale wszyscy trzej zachwyceni i zdziwieni stale jedno podkreślali: tak pewne otropienie tych dwóch wilków, kiedy nikt z nich, aż do chwili strzału, nie wierzył, że mogą być w miocie.

Jest samo południe, chłopców posłałem po sanki, a sam omawiam ze strażnikiem plan, jak można byłoby rozprawić się z tym pierwszym wilkiem. Gdzie on może zatrzymać się, w jakim miocie? Nie jest prawie nastraszony, więc daleko chyba nie pójdzie? Trzeba korzystać, że jest odosobniony i objechać go szybko! Sanki już podeszły i chłopcy czują, że to jeszcze nie koniec polowania na dzisiaj.



Wilk Dyr. St. Jankowskiego. Fot. W. Łuczyński

Wciągamy zabitego wilka sznurami na drzewo, maskujemy gałęziami i już jedziemy dalej. Miot następny objechaliśmy szybko, tylko że wilk jednak z niego wyszedł. Krótka narada i znowu pędzimy dalej. Mojem zdaniem w tym miocie powinien się zatrzymać; znam te miejsca—gąszcze, zawały i — cisza. Ja dotąd wyjściowego śladu jadąc nie spotkałem, a jestem już na punkcie zbiórki. Widzę też już jadącego strażnika, co też on powie? Podjechał blisko do moich sanek i mówi szeptem, że u niego wilk nie wyszedł. Dobrze więc — zatrzymał się — trzeba jednak się śpieszyć!

Robię plan pędzenia w kierunku, skąd stado w nocy przyszło. Przypominam znowu, jak mają posuwać się — bardzo wolno, przystawać chwilami. Nie śpieszyć się wcale, nie hukać nawet, tylko lekko, więcej dla orjentacji kierunku pędzenia i utrzymania łączności między sobą, od czasu do czasu stukać kijami po drzewach. Strażnik idzie tropem wilka, chłopcy, jako łącznicy, po bokach od niego. Wilk powinien mieć dostatecznie czasu do namyślania się, dokąd ma pójść. Ruszyć mają bez sygnału, tylko według zegarka. Narada skończona już — odjazd!

Ja jadę znowu sam, wkrótce dojeżdżam na miejsce, wybieram stanowisko nie wychodząc z sań i jadę dalej, żeby postawić gdzieś w gąszczu konia. Idę teraz na swoje miejsce okrężną drogą od tyłu, nie chcę dawać świeżego śladu ludzkiego na małej trybie, gdzie mam stać. Cicho i powoli podchodzę do stanowiska. zgrzałem się idąc gęstym młodniakiem bez drogi, cały jestem zasypany śniegiem z drzew. Dobrze trafiłem, prawie zupełnie na wprost obranego miejsca. Pole obstrzału jest tutaj niebardzo wygodne, po bokach mała tryba do 2 mtr. szerokości, podejście do niej mało widoczne, z powodu gęstego młodniaka zasypanego śniegiem, na wprost ten sam młodniak. Stanąłem od strony przeciwnej do pędzonego miotu, zawsze dalej widzę na boki i prędzej mogę zobaczyć w razie zbliżenia się zwierza do tryby. Spojrzałem na zegarek, już za parę minut powinni ruszyć. Trzeba ostro patrzyć na boki, bo wszystko zależy, kto kogo pierwszy zobaczy! Czy będzie jednak co do zobaczenia, to też zagadka?

Już jest czas, pewno ruszyli — znieruchomiałem, stoję jak posąg, a tylko słucham i patrzę. Mijają minuty, już prawie 10 ich upłynęło, oczy się męczą od tego białego otoczenia i blasku, oraz wskutek natężania wzroku. Śnieg od czasu do czasu opadnie z drzew, pozatem zupełna cisza. Odezwała się sójka, potem odpowiedziała jej przeraźliwie druga i znowu czas cicho upływa i powoli. Jednak serce już tłucze, coś jakby czuję, lada chwila coś ma być, ściskam broń gotową do strzału w każdym kierunku. Może być źle, jak to dłużej potrwa — gdzie spokój mój i opanowanie? Najwięcej zwracam uwagę na boki, mniej przed siebie, bo tutaj i tak mam prawie ścianę.

Coś jakby mignęło na wprost w gąszczu, wytężam wzrok w tym kierunku, znowu coś miga... Tak, wszak to wilk, ale nie widzę go całego, ani głowy, tylko najczęściej nogi. Kieruje się jakby do tryby, ale w lewo odemnie. Przystaje, nasłuchuje, widocznie dobrze bada teren, znowu idzie wolno, krokiem, chwilami go zupełnie nie widzę, ale pilnuję kierunku, jaki obrał.

Teraz już jestem zupełnie spokojny, liczę na swoje szczęście! Musi pokazać się przed wejściem na linję. Broń trzymam gotową do strzału w lewo. Jest, widzę znowu, zbliża się powoli do tryby — żeby nie ten teren zakryty, można byłoby już strzelić. Szukam wzrokiem naprzód, gdzie ma przyjść, może będzie jakaś luka? Jest małe jakby okienko — kieruję tam lufy, czekam, nic z tego — przeszedł dalej już. Dochodzi do tryby, może jest od niej niecałe dziesięć kroków. Chcę koniecznie strzelać zanim wyjdzie cały na linję, bo może jeszcze zauważyć mnie wcześniej. Mam go już teraz — jest parę metrów otwartych, tutaj musi przechodzić — składam się, wysuwa się głowa — strzał! Pada na miejscu, jakby rażony prądem, ani drgnął. Idę do niego, leży na przednich łapach głową, jakby gotował się do skoku...

Odetchnąłem głęboko, z zadowoleniem. Co ja przeżywałem i ile się napatrzyłem, bo to przecież trwało nie minutę i nie dwie, lecz znacznie dłużej. A więc jednak wybrałem dobry kierunek pędzenia i dla siebie stanowisko też! Moja naganka teraz dopiero już daje znać o sobie, słychać trzask łamanych gałęzi, jakby parło stado dzików. Wychodzi strażnik, kożuch rozpięty, wygląda jakby wyszedł w tej chwili z ruskiej łaźni, cały do tego pokryty śniegiem. Już się śmieje, bo widzi leżącego wilka, woła chłopców do siebie. Stają wszyscy trzej przy wilku zapatrzeni i oniemieli. Później za przykładem Józefa rzucają się do mnie

i podnoszą kilka razy do góry. Mówię im, żeby dali spokój i zachowali się cicho w kniei, a tembardziej wobec majestatu śmierci zwierza, który na to zasługuje.

Jest już cisza, rozmawiamy półgłosem i pijemy „pogrzebowe". Wszystkie posiadane zapasy prowiantowe dzielę na równe cztery części, taksamo i papierosy. Po pewnym czasie, kiedy już pokrzepiliśmy się i chłopcy odpoczęli, wysłałem ich po konie i sanki. Chwalę strażnika, że bardzo dobrze wykonał plan pędzenia, czego dowodem, iż oba wilki wystawił mi na strzał. On zaś twierdzi, że nie jest to trudne, kiedy się ma takiego nauczyciela, ponowę jak dzisiaj, no i szczęście.

Oglądamy tego wilka — zupełnie podobny do tamtego, też wilczyca. Jest już blisko godzina trzecia po południu, prędko i wieczór będzie. Podjeżdżają już sanki, trzeba szykować się do drogi powrotnej. Ładujemy wilka na sanki, ale konie zaczynają awanturować się, kopią śnieg, parskają, czują też wilczy zapach. Ruszamy do tamtego wilka schowanego na drzewie; przy ładowaniu go na drugie sanki — ta sama historja z końmi. Wreszcie jest wszystko w porządku, zapalamy jeszcze co kto ma, Józefa przesadzam do siebie, a chłopcy jadą w drugich sankach.

Zwolna jedziemy, ale nasze konie rwą, jak oszalałe, ledwie je można utrzymać. Żegnam z żalem czarowną knieję, tak dzisiaj dla mnie łaskawą, a nawet hojną. Cudne przeżycia z dzisiejszej ponowy już do końca życia zachowam w skarbcu swoich wspomnień myśliwskich.

Zapada już cichy wieczór zimowy. Kiedy wyjechaliśmy z lasów, kierując się do domu bliższą drogą zimową, doszło nas dalekie pojedyncze wycie wilka, które wkrótce umilkło. Kierunek wycia był ten, dokąd poszło tamto stado wilków. Może dzisiejszej nocy przyjdą one do tych lasów, żeby uczcić śmierć swoich dwóch towarzyszek? A może jeszcze tej nocy nie?!

Cała zagadka tych pozostawionych i odseparowanych od stada dwóch sztuk teraz już jest zupełnie jasna. Stara wadera przez zazdrość usunęła ze stada te dwie młodsze, pociągając za sobą wszystkie samce. Te dwie czasowo osamotnione zaszyły się w gąszcz świerkowy i odpoczywały. I trzeba trafu rzadkiego, ale szczęśliwego dla mnie, że stały się objektem moich łowów, właśnie w tak śliczną ponowę. Tak mniej więcej przeważnie poluję na wilki i większość ubitych wilków wypracowałem właśnie takim sposobem, jednak w warunkach często znacznie trudniejszych i mniej sprzyjających, niż opisane tutaj ostatnie polowanie.

Wiem, że takie polowania na wilki, jak moje, dla wielu polujących z różnych powodów są niedostępne. Kto chciałby ich spróbować, powinien mieć cierpliwość i przygotować się musi w pierwszych latach na niepowodzenia i gorzkie zawody. Trzeba mieć zdrowie i siły, oraz wielkie zamiłowanie do dłuższego obcowania z przyrodą i poznawania wszystkich jej tajemnic. Pozatem trzeba posiadać tak zwane czucie lasu, dobrą orjentację w kniei i spryt do tropienia, a to ostatnie osiąga się dopiero przez dłuższą własną praktykę. Prócz tego trzeba być niezależnym co do dysponowania czasem w okresie zimowym, dobrać sobie do pomocy pewnego i chętnego pomocnika, niełasego na pieniądze, ale z powołania zamiłowanego do łowiectwa.

Może młode pokolenie myśliwych, jeszcze niezepsute nowoczesnemi sposobami modnych obecnie polowań na wilki, które to sposoby, mojem zdaniem, bardzo mało mają wspólnego z prawdziwemi łowami, zacznie uprawiać takie polowania na grubego zwierza, które, dając wiele pięknych przeżyć i silnych wrażeń, równocześnie wyrobią w niem tężyznę męską i odwagę, hartując młody organizm do pokonywania wszelkich przeciwności w twardej szkole życia. Należy tego życzyć.

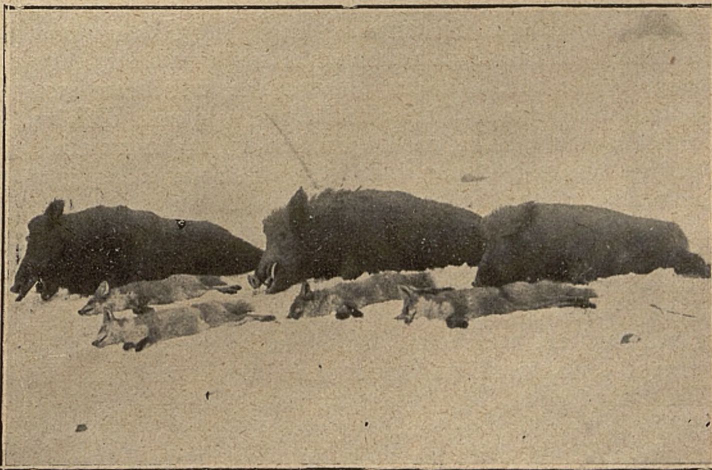
HENRYK BUSZYŃSKI.

ŚWIĘTY HUBERT BYŁ ŁASKAW

Na 21-go stycznia r. b. mieliśmy przewidziane polowanie na Wołyniu. Pogoda, w miarę zbliżania się dnia polowania, była coraz gorsza. Śnieg ginął gwałtownie, deszcz pokropywał, ciepłota trzymała się stale nieco powyżej zera. Łowczy p. K. zdradzał coraz większy niepokój i powziął zamiar polowanie odwołać. Miał niby słuszność. Ale władze Dubieńskiego Kółka Myśliwskiego uważały, że polowania raz wyznaczonego nigdy nie odwołują, zwłaszcza że brak pewności czy w późniejszym terminie warunki będą korzystniejsze.

Liczna wymiana telefonów wyjaśniła stan rzeczy prawie w ostatniej chwili, prawie na godzinę przed odejściem pociągu. Z naszej lwowskiej grupy zamiast 9 i 2 gości, czyli 11 myśliwych, jedzie nas trzech, to jest dwóch panów Marcinkiewiczów i ja. Jak zwykle, są wyznaczone dwa polowania, w każdem może brać udział mniej więcej połowa członków. Dziś możemy wybierać dokąd pojechać, skoro z naszej lwowskiej grupy tylko trzecia część odważyła się pomimo deszczu wytknąć nos poza miejskie mury. Po drodze przyłącza się p. dr. Zajączkowski. Przewidujemy najgorsze: śnieg ginie w oczach, o jakiemś tropieniu dzików nie można marzyć.

Rozdzielamy się w Kamienicy Wołyńskiej, gdyż pp. Z. i A. M. postanawiają jechać na polowanie drugiej grupy, gdzie mają lepszy dojazd i wcześniejszy powrót.



Z polowań w Radzyniu u p. B. Szlubowskiego. Fot. J. Karłowicz.

Inż. T. Marcinkiewicz i ja pchamy się odważnie w jeden z najbardziej zapadłych kątów myśliwskich naszego kółka. Z Dubna trzeba odwalić coś ze 20 kilometrów końmi. Noc ciemna, choć oko wykol. Deszcz niby nie pada, ale mży bez przerwy. Szczęśliwie bez wypadku dobijamy na miejsce przeznaczenia grubo po północy. Rankiem nadjeżdża jeszcze 3-ch myśliwych, potem w połowie polowania jeszcze jeden. Jest nas nieco mniej, niż połowa przeciętnego zespołu. Ano trudno, choć knieja obszerna i niełatwo obstawić długie na kilometr linje, ale jakoś będziemy sobie radzić.

W pierwszym miocie wypada mi stanowisko ostatnie, na prawem skrzydle. Gajowy odchodząc napomina, że jeżeli dziki będą, to pójdą pomiędzy drugiem a trzeciem stanowiskiem od lewego, ale popłoszone odbiją napewno na moje. Naganka idzie cicho, tak na dzika najlepiej. W lesie śniegu jeszcze wyjątkowo sporo, mgła mokra trwa, ale pogoda jest nieco lepsza, niż wczoraj. Mamy przed sobą długi wąski zrąb, przecinający wpoprzek cały miot. Przez długi czas panuje niczem niezamącony spokój.



Dr Jerzy Błeszyński przy swym szczęśliwym pokocie na Wołyniu.

Nagle widzę w głębi trzy dziki już zawracające z przed linji myśliwych ku nagance. Dziwi mnie trochę dlaczego nie były strzelane, gdyż nie były dalej przed środkowem stanowiskiem, jak 100 kroków, a może i bliżej. Przypominam sobie wzmiankę gajowego i bez ruchu, z przygotowanym sztucerem czekam. Nie upłynęło 5 minut od chwili ujrzenia dzików, a już smarują jeden za drugim krajem zrębu ku mnie, potem skręcają trochę i idą wprost na mnie. Dopuszczam dziki na 25 kroków i strzelam na sztych do pierwszego. Wszystkie skręcają w lewo, wpadają w galop. Repetuję i strzelam do drugiego. Idą wszystkie dalej. Znów kula do lufy. Zanim podniosłem broń, jeden z dzików przewrócił się, drugi zwolnił i zrównał się z trzecim. Strzelam trzeci raz do bliższego. Znikają za pagórkiem. Po chwili miga mi się już tylko jeden. Wyglądam za pagórek — drugi dzik leży. Nadchodzi naganka, wyciąga dzika. Oglądam strzały. Drugi dzik ma dwie kule, pierwszą i trzecią. Trzecia była niepotrzebna, dzik miał dosyć pierwszej, ale kiedy zwolnił biegu w chwili trzeciego strzału, zasłonił pozostałego towarzysza. Wcale ładny początek!

Zachodzimy na stanowiska następnego miotu. Teraz staję drugi od prawego skrzydła, wedle gajowego też na dobrem miejscu. Stoję na dość wysokim wale. Przede mną gęsty młodniak sosnowy, dalej wysoki bór. Za mną droga, dość szeroka wolna przestrzeń, potem poniżej wysoki las. Czekam. Kręcą się rogacze, mogę strzelać do 2-ch czy 3-ch stojących na pustej przestrzeni, ale wolę po tak miłym początku jeszcze raz kusić św. Huberta o spotkanie z dzikami.

Miga przedemną coć czarnego. Dzik defiluje ścieżyną. Kroków może 100, może trochę więcej. Z wału widać doskonale co się dzieje w młodniaku, tylko bezpośrednio pode mną gąszcz dość dokładny. Gdy się namyślam czy strzelać do dzika, który ma kierunek pomiędzy mnie i sąsiada z lewej, wyskakuje drugi i galopkiem podąża za pierwszym. Już mam zamiar strzelać, gdy kątem prawego oka widzę jakiś ruch w zagajniku: 4 dziki idą wprost na mnie. Zapominam zaraz o defilatorach i uwagę poświęcam tym, które tak łaskawie do mnie kierują swe kroki.

Dziki zniknęły w gąszczu podemną. Nie wiem z której strony wyjdą na wał. Miękki śnieg głuszy kroki. Patrzę na lewo, a dziki idą po prawej. Zamajaczyła czarna plama w gąszczu — strzelam. Dziki idą dalej. Repetuję broń, dziki jakoś dziwnie zdrowe wychodzą na drogę. Strzelam do drugiego. Zaznaczył dobrze i o tego jestem spokojny. Kula 8×60 Magnum nie żartuje. Śpieszę się z następnym strzałem, gdyż dziki nikną za pochyłością, i strzelam w zad ostatniego dzika. Znów kula do lufy i wypatruję. czy jeszcze nie migną gdzie czarne cienie. O są, ale tylko dwa. Wynajduję wolną przestrzeń na wysokim lesie, łapię na muszkę ostatniego dzika i strzelam. Czarny zwierz przewraca się, jak piorunem rażony. Piękna odległość — zdawało mi się, że będzie ze 150 kroków. Ale ponoć było 215 wedle tego, któremu się koniecznie chciało sprawdzać. Wyglądam na pochyłość: jeden dzik leży pod lasem, drugi tam daleko, a trzeci stoi pod krzakiem. Posyłam mu jeszcze jedną kulę.

Jestem trochę oszołomiony. Pięć dzików w dwu po sobie następujących miotach, to się nie często zdarza. Mimowoli przypomina się, że równo ćwierć wieku temu, jako uczeń 4-ej klasy byłem po raz pierwszy w życiu „królem" na polowaniu u mego ś. p. Ojca, mając coś 16 zajęcy na rozkładzie. Godnie pozwolił św. Hubert uczcić tę rocznicę wiernemu służce swemu.

Polowanie po dwóch dniach zakończyliśmy, mając na rozkładzie 8 dzików, w tem pięknego odyńca, którego ubił por. Piotrowski. Nawiasem mówiąc, zamieniłbym się z nim zaraz, a takie ma szczęście ów towarzysz, że w przeciągu trzech sezonów kropnął 4 odyńce, wszystkie kapitalne. Pozatem pokot uzupełniły: 1 lis i 2 rogacze.

Wracaliśmy syci wrażeń i jeszcze raz zgodnie stwierdziliśmy, że nie należy myśliwemu twożliwie oglądać się na pogodę i niewygody. Nigdy nie jest wiadome co przyniesie dzień następny i jaką niespodziankę zgotuje św. Hubert wiernym swym wyznawcom.

JERZY BŁESZYŃSKI

„PIEŚŃ W PUSZCZY"

O czterdzieści kilka kilometrów od miasta Sarn rozciąga się na przestrzeni wielu tysięcy hektarów wspaniała, mroczna i dzika puszcza.

Puszcza ta wchodzi w skład maj. Tomaszgród i tworzy oddzielny kompleks leśny. W północnej swej granicy łączy się z rozległemi lasami Ordynacji Dawidgródeckiej. Znam wiele lasów i kniej na całym niemal obszarze Polski, lecz tak dziką w swej pierwotności puszczę po raz pierwszy oczy moje oglądały.



70--cio letni wabiarz łosi i tropiciel dzików Jakim Gryckiewicz.

Jakże piękna jest „hrada", gdy świt nadchodzący zaleje złotym blaskiem ciemne i dzikie gęstwiny, a liczne odgłosy jej mieszkańców łączą się z tajemniczym szmerem drzew. I zda się wówczas, że oto ranny pacierz szepce natura. Jakże wspaniała jest Poleska Puszcza, gdy dzień się kończy i zapadające słońce barwi czerwienią niezgłębione gęstwiny, i milkną głosy zwierza, i cisza wielka, przerywana tylko wyciem wilków lub bekiem zarzynanej przez krwiożerczego rysia sarny, zalega dookoła. Jakże piękne są roztoki i rozlewiska, gdy poprzez splątane gęste ściany łozy i mateczników ukaże się oczom zdumionego myśliwca olbrzymia, majestatyczna sylwetka łosia, odrodzonego króla Puszcz Poleskich, który, rozdętemi chrapami biorąc wiatr, szybko znika w dzikich gąszczach, węsząc niewidzialnego wroga.

A gdy biały całun śniegu pokryje ziemię i mroźny wicher zakołysze drzewa, wściekła śnieżyca zagrozi zmarzłej ziemi, wówczas dzik, odwieczny mieszkaniec kniej poleskich, znaczy białym śladem przebytą drogę i, czujny na każdy szmer, z trzaskiem łamanej łozy i gałęzi, ginie w mrocznych ostępach.

Ścieżkami wydeptanemi przez łosie, stale walcząc ze strasznym gąszczem, chłostani wichrem i zasypywani masami śniegu, szliśmy, a raczej czołgaliśmy się przez puszczę.

Trzy psy gończe, trzymane na smyczach przez gajowego, człapały cicho skomląc za nami. W czasie drogi widzieliśmy liczne ślady dzików i łosi, i cieszyła się dusza myśliwego na widok tych niezbitych dowodów istnienia grubej zwierzyny. Tak przeszliśmy kilka kilometrów, nagle stary gajowy zatrzymał nas ruchem ręki, mówiąc: „wy Pane tut staniecie, a was Pane zawiedu dalsze". Zostałem na wskazanem stanowisku, a mój towarzysz stanął o 150 metrów dalej.

Gajowy po ustawieniu nas poszedł zapuszczać psy do miotu, a coraz słabszy trzask łamanej łozy dowodził, że jest on już daleko.

Śnieg przestał padać i wkrótce cisza, święta cisza Poleskiej Puszczy, zapanowała dokoła. Stoję ze strzelbą w ręku, podziwiam potęgę natury i wchłaniam spokój i ciszę, jaka dokoła mnie panuje. Stoję i marzę. Nademną Bóg Wszechmogący, a wokoło mnie nadewszystko ukochana puszcza — i oto napływają do myśli stare wspomnienia i przeżycia myśliwskie, i różne minione już bezpowrotnie chwile przesuwają się w mej wyobraźni. Raptem głos psów przerwał moje myśli. Wzięły — pomyślałem. Wściekłe ujadanie i piekielny psi jazgot zbliżał się w moją stronę. Czy jest ładniejsza muzyka, niż wspaniały głos gonu ogarów?

Cudna symfonja psiej sfory stawała się coraz potężniejsza, coraz bliższa była chwila mego spotkania ze zwierzem. Gończych granie z każdą chwilą stawało się coraz silniejsze, aż oto do uszu moich doszedł trzask łamanej łozy i oczom moim ukazał się olbrzymi odyniec, dookoła osaczony przez psy, które z wściekłością rzucały się na czarnego olbrzyma. Był to niezapomniany widok.

Dzik, ostro odcinając się rozjuszonym psom, krótkim galopem zbliżał się w moim kierunku. Szybko wycelowałem i strzeliłem. Huk strzału rozległ się w puszczy i jednocześnie prawie olbrzymi zwierz runął ciężko na ziemię.

Podbiegłem do dzika, czarny olbrzym konał, posoka z pianą sączyła mu się z pyska.



P. Ignacy Żagiell z ubitym dzikiem. Fot. P. Mach.

Raptem ze sfory psów wybiegł jeden, usiadł obok konającej bestji i zawył — i popłynął przez puszczę dziki odwieczny zew krwi odbity echem, coraz głośniej, coraz dalej, aż popłynęła pieśń: to radości, to dumy, przechodząc w ton skargi i rozpaczy nad konającym zwierzem.

IGNACY ŻAGIELL

CECHOWANIE BRONI

BROŃ AUSTRJACKA, CZECHOSŁOWACKA I WĘGIERSKA

Broń austrjacka ma wyrobioną bardzo dobrą opinję na polskim rynku.

Szczególnie znane są: z broni kulowych — broń półsamoczynna, magazynowa oraz sztucery dubeltowe i pojedyńcze.

Oprócz tych broni pojawiły się również dubeltówki tańsze, wypuszczane przez fabrykę broni w Steyr. Innych rodzajów broni austrjackich na rynku polskim nie spotyka się.

Przed wojną broń austrjacka znana była przeważnie na terenie Małopolski. W innych zaborach była stosunkowo mniej rozpowszechniona.

Doskonałą bronią, która była znana nietylko w Europie, ale i w Ameryce — jest słynny karabin myśliwski 5 strzałowy, półsamoczynny, fabryki Mannlicher Schönauer. Broń ta zyskała sobie taką sławę na całym świecie, że fabryka w Steyr wyrabiała nawet taką broń w kalibrze typowo amerykańskim, jakim jest cal. 7,62×63, dla rynku amerykańskiego.

Austrjacka fabryka broni w Steyr była jedną z największych w świecie i przed wojną światową wyrabiała znakomitą broń wojskową i myśliwską. Armje różnych państw były wyposażone w broń produkowaną w Steyr, jak np. słynne karabiny meksykańskie typu Mausera stanowiły jedną z najlepszych broni wojskowych na świecie, a karabiny wojskowe greckie — z których pochodzi Mannlicher Schönauer — były częścią uzbrojenia Legjonów Polskich podczas wojny światowej.

Poza wymienioną bronią znane były doskonałe sztucery dubeltowe, wyrabiane przez wytwórnie: J. Springer w Wiedniu. oraz J. Nowotny w Pradze.

Wytwórnie te wypuszczały również i broń śrutową.

Poza produktami tych wytwórni znane były bronie wykonywane przez rusznikarzy lwowskich i krakowskich. Szczególnie lwowscy zyskali sobie zasłużenie bardzo dobrą opinję.

Po upadku monarchji austr.-węg. bronie są nadal wyrabiane w krajach sukcesyjnych, a więc w b. Austrji, Czechosłowacji i na Węgrzech.

Bronie austrjackie w dalszym ciągu cieszą się powodzeniem na rynku polskim.

Co do broni czeskich i węgierskich — są one mniej rozpowszechnione i rzadziej spotykane.

Dawne austrjackie zakłady doświadczalne dla przystrzeliwania broni były podzielone do 1938 roku między następujące państwa: Austrja, Czechosłowacja i Węgry.

Zakłady doświadczalne austrjackie były w Ferlachu i Wiedniu; czeskie — w Pradze i Weipercie, a węgierskie — w Budapeszcie.

1⁰ Poza podanemi cechami — na lufach jest wytłoczony kaliber lufy.

2⁰ Nicht für Kugel" (nie dla kul) — oznacza czok.

3⁰ Na lufach dla prochu bezdymnego — podana jest waga lufy.

Obecnie, po przyłączeniu Austrji do Niemiec, bronie tam wyrabiane posiadać zapewne będą znaki obowiązujące dla Trzeciej Rzeszy.

Czy bronie austrjackie nadal będą się cieszyły tak dobrą opinją, jak dotychczas — niewiadomo:

Zakłady doświadczalne czechosłowackie wprowadziły ostatnio podobno zmianę cechy orzełka na lewka.

1⁰ ze względu na brak surowców,

2⁰ na trudności zbytu, na jakie napotyka handel eksportowy Trzeciej Rzeszy.

Przemysł broniowy czechosłowacki przed rokiem 1938 rozwinął się wybitnie w kierunku produkcji broni wojskowej. Czechosłowacja dostarczała broni wojennej różnym państwom. Broń ta spotykała się we wszystkich konfliktach zbrojnych, jakie miały ostatnio miejsce w świecie.

Obecnie, w zmienionych warunkach, jest możliwe, że nowa Czecho-Słowacja znowu powróci do wyrobu broni myśliwskiej.

Węgierska fabryka broni w Budapeszcie była drugą co do wielkości fabryką broni b. monarchji austr.-węgierskiej.

Podczas wojny światowej wyrabiała ona broń wojskową dla wojska austrjackiego. Po wojnie przypuszczalnie nadal zaspokaja potrzeby wojska węgierskiego, oraz jako przemysł uboczny — wyrabia broń myśliwską.

Broń zarówno czecho-słowacka jak i węgierska na rynku polskim spotyka się dosyć rzadko.

(C. d. n.)

BROCHWICZ

Z DZIAŁALNOŚCI „DEUTSCHE JÄGERSCHAFT" W 1937 – 38 R.

Działalność Niemieckiego Związku Łowieckiego charakteryzuje w sposób najbardziej naoczny statystyka zdobytej w roku sprawozdawczym zwierzyny w zestawieniu z wynikami w roku poprzednim:

	1936/37	1937/38	Wartość 1937/38
Łosie byki	99	62	19.200
„ łosze i cielęta	147	66	
Jelenie byki	17.944	23.446	4.203.360
„ łanie i cielęta	39.016	36.605	
Daniele byki	4.121	4.760	611.820
„ łanie i cielęta	8.622	8.836	
Sarny kozły	264.573	290.831	9.900.240
„ kozy i koźlęta	378.791	327.934	
Muflony tryki	103	103	6.610
„ owce i jagnięta	85	86	
Kozice kozły	638	663	29.340
„ kozy i koźlęta	317	315	
Dziki	36.642	37.904	1.705.680
Zające	2.948.839	2.279.218	6.837.654
Króliki	1.792.681	1.718.591	1.718.591
Lisy	218.229	175.479	1.754.790
Borsuki	18.206	13.438	134.380
Inne drapieżniki	135.548	160.931	804.655
Głuszce	1.002	837	—
Cietrzewie	3.586	3.185	—
Jarząbki i pardwy	398	455	—
Dropie	58	58	—
Bażanty	1.013.595	854.884	1.496.050
Kuropatwy	2.043.288	1.545.456	1.545.456
Gołębie dzikie	175.750	229.110	343.665
Słonki	39.030	33.520	83.800
Kszyki i kulony	11.635	27.797	27.797
Dzikie kaczki	378.674	426.979	533.724
Dzikie gęsi	14.058	13.050	39.150
Inne ptactwo wodne	64.470	69.392	—
Drapieżniki skrzydlate	879.402	841.880	—
Włóczące się psy	69.714	69.242	—
„ „ koty	364.296	342.953	—
		Razem	31.797.596

Z przytoczonego zestawienia widać, iż w roku sprawozdawczym przybyło na rozkładach jeleni danieli, dzików i niektórych drapieżników, natomiast ubyło: zajęcy, lisów, borsuków, bażantów i kuropatw. Ubytek ten znajduje wytłomaczenie w złych warunkach klimatycznych r. 1937/38, niekorzystnie wpływających na drobną zwierzynę. Z ogólnej sumy wartości ubitej zwierzyny 29.1 milj. RM. przypada na zwierzynę jadalną i 2.7 milj. R.M. na zwierzynę futerkową. Największą wartość pieniężną przedstawia w Niemczech odstrzał sarn — 9.9 milj. R.M., następnie zajęcy — 6.8 milj. R.M., i jeleni — 4.2 milj. R.M Z kwoty ogólnej szacunku należy potrącić 2.3 milj. R.M., wypłaconych tytułem odszkodowania za straty przyczynione przez zwierzynę.

Ze zdobyczy łowieckiej osiągniętej w 1937/38 r. oddano na pomoc zimową dla najbiedniejszych następujące ilości zwierzyny w naturze:

jeleni — 1.441; danieli — 655; sarn — 20.339; dzików — 533; zajęcy — 64.781; królików — 68.411; bażantów — 7.684; kaczek — 1.352; innej zwierzyny — 1.504, razem — 166 400 sztuk. o wartości 820.267 R.M. Ponadto w gotówce uiszczono na ten sam cel 168.651 R.M.

Pomimo tak wielkiej ilości ubitej w Niemczech zwierzyny, nie wystarczała ona na zaspokojenie potrzeb ludności. Przywóz zwierzyny bitej z zagranicy stanowił w ostatniem 5-leciu (wagowo i wartościowo):

	zwierz. czworonożnej		zwierz. skrzydlatej	
	kwintali	R.M.	kwintali	R.M.
1933 r.	25.843	1.340.000	1209	217.000
1934 r.	35.329	1.880.000	1944	337.000
1935 r.	33.893	2.064.000	1199	209.000
1936 r.	40.038	2.504.000	1010	180.000
1937 r.	32.111	2.029.000	945	150.000

Równocześnie przywóz zwierzyny żywej dla odświeżenia krwi wynosił w 1937/38 r.:

jeleni — 85, wartości 15.000 R.M. (z Polski, Węgier, Austrji i Szwajcarji); łosi — 6 sztuk, wartości 3.000 R.M. (z Finlandji, Szwecji, Rosji); danieli — 75 sztuk, wartości 6.000 RM. (z Danji, Węgier, Szwajcarji, Austrji); sarn—133 sztuki, wartości 6.500 RM. (z Austrji, Danji, Szwecji); muflonów — 160 sztuk, wartości 16.000 R.M. (z Włoch, Austrji, Czechosłowacji); kozic—22 sztuk, wartości 5.000 R.M. (z Austrji, Szwajcarji); zajęcy — 2513 sztuk, wartości R.M. (z Polski i Szwecji); kuropatw 7.700 sztuk, wartości 23.200 R.M. (z Polski i Węgier); bażantów — 12.746 sztuk, wartości 64.000 R.M. (z Polski, Węgier, Austrji); głuszców — 36 sztuk, wartości 1.120 R.M. (z Węgier i Finlandji); cietrzewi — 39 sztuk, wartości 760 R.M. (z Węgier i Finlandji).

Jeżeli od liczb, charakteryzujących myślistwo niemieckie, przejdziemy do działalności kulturalno-łowieckiej Deutsche Jägerschaft, to jako wyczyn najważniejszy wymienić należy zorganizowanie w listopadzie 1937 r. Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie. Był to na terenie Europy pierwszy na taką miarę zakrojony pokaz zarówno trofeów, jak historji i kultury łowieckiej, znacznie prześcigający podobną wystawę w Wiedniu z 1910 r. Ponieważ wystawie berlińskiej „Łowiec Polski" poświęcił w swoim czasie dużo uwagi i miejsca, przeto nie zatrzymujemy się na niej dłużej.

Drugiem poczynaniem zrzeszonego łowiectwa niemieckiego, dokonanem przy hojnem poparciu rządu, było stworzenie w Schorfheide pod Berlinem rezerwatu łowieckiego, mającego obrazować życie zwierzyny w warunkach możliwie zbliżonych do naturalnych. Obszerny ten rezerwat mieści w sobie okazy wszelkich rodzajów zwierzyny i jest ciągle uzupełniany nowemi okazami. Ostatnio np. przybyły bobry z nad Elby, żbiki z Harcu, jarząbki z Karyntji i t. d. Głuszce, cietrzewie i jarząbki nietylko tokowały w rezerwacie, ale nawet zakładały gniazda i wychowały potomstwo, co świadczy o doskonałych warunkach ich bytowania w ogrodzeniu. Dla wykorzystania rezerwatu do celów naukowych przydzielono doń dwóch zoologów, którzy prowadzą stałe badania nad życiem zwierzyny, a ponadto studjują ich stan zdrowotny oraz wpływ pasożytów. Wykonany przez kierownictwo rezerwatu film z życia łosi był nietylko wyświetlany podczas wystawy, ale objechał nawet wiele stolic europejskich, a duże zainteresowanie nim dało asumpt do przygotowywania nowych filmów z życia zwierząt łownych.

Niemniej skuteczną była działalność Stacji badawczej dla

broni myśliwskiej w Wannseee pod Berlinem. W okresie sprawozdawczym poddano zbadaniu: 425 sztuk broni kulowej dla pocisków opancerzonych, 183 sztuki broni kulowej dla pocisków ołowianych, 251 sztuk broni śrutowej. Ponadto zorganizowano podczas wystawy międzynarodowe zawody strzeleckie, w których wzięli udział przedstawiciele 12 krajów, zaś liczba zawodników przekroczyła setkę. Opinja Stacji była zasięgana również przy nieszczęśliwych wypadkach z bronią. Wypadków takich zanotowano 936, z czego 54 wypadki stanowiły rozsadzenia luf, 3 wybrzuszenia luf i 5 — przebijanie spłonek przez iglice. Resztę stanowiły 874 wypadki poranienia ludzi przez strzały, z czego 839 wpadków przypada na strzały śrutowe, a 35 — na strzały kulowe.

Instytut łowiecki D. Jägerschaft przeprowadził określenie wieku na podstawie szczęki dolnej u 1093 sztuk jeleni i danieli, oraz 1869 sztuk sarn. Oceny poroży i wieńców dokonano w 433 wypadkach. Określenie przyczyn chorobowych u zwierzyny łownej przeprowadzono w 741 wypadkach.

J. G.



PIEWCA PRZYRODY

We wskrzeszonym obecnie, w setną rocznicę urodzin, niesłusznie zapomnianym pisarzu Adolfie Dygasińskim *) trudno nie podziwiać wielostronności talentu, szczerego patrjotyzmu i rozległych zainteresowań, jakie przemawiają z jego dzieł, opartych na głębokiej wiedzy filozoficzno-przyrodniczej i wielkiej kulturze duchowej. Szczególnie ten pierwszy pierwiastek, to ukochanie natury kraju rodzinnego, ten jego poemat o ziemi i związanem z nią życiu, wysuwa się w tych rozważaniach na miejsce naczelne.

Dygasiński przedstawia nam z dużą wnikliwością i szczerym realizmem, na tle przyrody polskiej, walkę o byt ludu wiejskiego i jego najbliższego otoczenia, a więc zwierząt z kniei i zagrody. Pod tym względem jest pierwszym pisarzem polskim, który w mistrzowski sposób maluje niepozornych i szarych mieszkańców naszych pól, lasów i wód. Nie obdarza ich jakiemiś szczególnemi względami, nie upiększa ich ciasnego życia, ale jest wiernym i zarazem miłującym obserwatorem tych stworzeń, które gnieżdżą się pod strzechą chłopską lub w srogą zimę zbiegają się do siedzib ludzkich, szukając w nich osłony i żywności — a spotykają przeważnie wroga.

Niema zapewne ani jednego czytelnika „Łowca Polskiego", któryby nie zapoznał się bliżej z dwoma stworzeniami świata zwierzęcego: szarakiem i wyżłem. Każdy zna ich cnoty i wady zalety i przywary, i mógłby niejedną ciekawą rzecz powiedzieć na temat wspólnych z niemi przeżyć. Ale żaden nie zaprzeczy po przeczytaniu „Zająca" i „Asa" Dygasińskiego, że to on dopiero odkrył nam tajniki zajęczego i psiego żywota. I każdy uwierzy, że mógł to zrobić tylko doświadczony przyrodnik i wielki miłośnik natury, człowiek, który zmysł badawczy umie skojarzyć ze szczerem uczuciem, z jakiem na świat Boży i jego mieszkańców spogląda.

Nie wydaje się słusznem, jeżeli o tym naszym pisarzu polskim mówi się, że wyprzedził swym rodzajem pisarskim Kiplinga. Kipling w skórę zwierzęcia przyobleka człowieka i każe mu za niego mówić, myśleć i działać. Dygasiński stawia coprawda swego konia, psa, szaraka, wróbla — w jednej perspektywie z człowiekiem, lecz dla niego jest to świat odrębny, chociaż mu bliski. Nasz wielki przyrodnik stara się wejść w odruchy instynktu zwierzęcia, współczuje jego niedoli, brakowi wolności i ciężkiemu jarzmu, w jakie dla swojej wygody, przyjemności i wyładowania przewagi silniejszego nad słabszym wprzągł je człowiek. Kipling wydał pierwszą swą książkę o dżungli w 9 lat po Dygasińskim. Pisał niż on inaczej i inaczej patrzał na życie zwierząt. Podejście naszego pisarza do czworonogów i ptaków jest głębsze, sentymentem bardziej owiane, w przejawach swych prostsze i szczersze. Forma pisania jest mu zarazem treścią, ideą nie jest potęga polityczna Albionu, jak u Kiplinga, albo filozofja pozytywistyczna epoki, ale pospolitość życia codziennego, w którem jednakże umie doszukać się blasków i cieni, przejmujących i chwytających za serce.

Nie można w tych poematach prozą o ziemi, przyrodzie i życiu pominąć ludzi. Pisarz patrzy na swe otoczenie oczyma człowieka i z niem wiąże istoty, które mu są najbliższe: wieśniaków, oficjalistów, strzelców, leśników i służbę dworską. Wszystko rozgrywa się na tle tajemniczej, potężnej przyrody. Inaczej wyglądają i oddziałują na ludzi i zwierzęta cztery pory roku, uroki i grozy pól, lasów, wód, rozśpiewanych latem, ściętych mrozem zimą.

Rozpatrzmy jego powieść satyryczno-obyczajową na tle przyrody: „Zając".

Matka natura dała mu na życie dwa główne oręże: strach i nogi. Mimo to popadł w złotą niewolę. Kucharz obciął mu słuchy i zawiesił dzwonek na szyję. Ale szarak bezuchy znalazł wyjście z dworu i odtąd przez osiem lat opędzał się śmierci, zdobył sławę wytrawnego gracza, aż wkońcu „skończony Łazarz", legł od strzału partacza. Tragikomedja bytu zajęczego odgrywa się nagle zaścianka w Grodzieńszczyźnie. Niedość, że mamy tu wszelkie przejawy i sposoby polowań, opisane barwnym językiem łowieckim, ale równocześnie autor wprowadza nas w świat służby dworskiej, oficjalistów, kłusowników. Świat ten, skromny i mały, odkrywa nam przecież najrozmaitsze postacie, charaktery, przywary i właściwości tych ludzi, na których Dygasiński patrzy okiem bystrym, spostrzegawczym, a mimo to pobłażliwem i miłującem. W tem wszystkiem jest dużo zacięcia humorystycznego, jest i satyra na obyczaje szarego człowieka. Aż wkońcu znajdujemy następującą prawdę: „Wdzięczności niema, bo ona musi od stworzeń wychodzić a te są niewdzięczne; ale sprawiedliwość pochodzi od samego Boga i ona nigdy nikogo nie minie".

Zastanówmy się kolejno nad smutną epopeą wyżła w powieści „As".

Elegant warszawski z nudów upodobał sobie sport myśliwski, chociaż na polowaniu się nie zna; tem pewniej i śmielej pragnie o niem rozprawiać. Ale niezbędnym atrybutem tej udanej namiętności wydawał mu się wyżeł, który sprowadzony do stolicy musiał się wypaczyć i w końcu zmarnieć. Perypetje Asa na bruku warszawskim opisuje Dygasiński z humorem, dopóki pies ma pole do płatania figlów i psot. Ale byt w obcem otoczeniu, coraz bardziej zawiłe sprawy ludzkie, niewola w klatce zwierzyńca — porywają psa w wir wypadków, coraz bardziej zawiłych i bolesnych. I autor poddaje ku rozwadze czytelnika takie zdania: „Nikt z ludzi nie pomyśli, aby... zwierzęta, karmiące się mięsem, mogły być smutne". „Lwy... rykiem dawały znać biesiadnikom, że w bliskości szczęścia istnieje niedola". As dostaje się na dwór możnego pana na Wołyniu, ale cierpi głód i poniewierkę, aż wreszcie ginie w płomieniach podpalonej sterty. „Uwikłany w tyle życiowych dramatów, przeszedłszy tyle

---

*) Zbiorowe wydanie pism Adolfa Dygasińskiego. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska" S. A. Warszawa, 1939.

przygód, As zginął nareszcie; wcześniej czy później, zawsze go to oczekiwało". Mamy tu pytanie otwarte: czy zwierzę w otoczeniu człowieka zawsze musi uledz losowi słabszego, czy przyroda skazała je zgóry na pognębienie, bez względu na to, czy przyjaźni się z ludźmi lub od nich stroni? A przecież cudowna jest natura, wspaniała roślinność i piękny, interesujący świat mieszkańców pól i lasów. Czemu wkracza w tę harmonję człowiek i niesie zaburzenie i śmierć, aby wreszcie sam stać się jej łupem? Ale te odcienie melancholji u Dygasińskiego nie przerażają; krasi je uśmiech zadumanego nad bytem myśliciela, który każe nam wierzyć w sprawiedliwość Boską.

TADEUSZ SAS JAWORSKI.

*

Znana firma wydawnicza Neumanna w Neudamm wykazała niezwykle ożywioną działalność w okresie przedświątecznym.

W szeregu wydawnictw, jakie się w tym okresie ukazały na pierwszy plan wysuwa się świetna praca C. E. Martiny'ego p. t. „*Tage, die man nie vergisst*" (Dnie, o których się nie zapomina).

Jest to zbiór wspomnień, ujętych w formę naracyjno-dydaktyczną. Obok wspaniałych przeżyć myśliwskich autora w Górach Siedmiogrodu, gdzie polował na dziki i niedźwiedzie, obok emocjonujących opowiadań o polowaniach na jelenie, spotykamy opisy polowań na króliki, zające, kuropatwy, kaczki i inną drobną zwierzynę. Każde polowanie jest miłem przeżyciem, o ile było wykonane etycznie w stosunku do zwierzyny, jak i do sąsiadów. Ale wiem z doświadczenia jak trudno jest znaleźć w przeżyciach myśliwskich z polowań na drobną zwierzynę tyle wzruszeń i emocyj, by aż warto było o nich pisać. Martiny dokonał tego cudu. Opis polowania na króliki jest mistrzowski, czytelnik przeżywa wraz z autorem emocje trudnego strzału. Brodzi wraz z autorem po łąkach za kaczkami i bekasami i wraca zmęczony do dworu. Z bezwzględną prostotą i bez sztucznego patosu autor potrafił oddać urok każdego polowania.

Ze wspomnień z Siedmiogrodu, gdzie dwa niedźwiedzie, dwa kapitalne odyńce i żbik stanowiły zdobycz autora, przebija głębokie ukochanie nietylko samego łowiectwa, ale wprost zamiłowanie do trudów życia myśliwskiego, a to znamionuje myśliwego wysokiej klasy.

Jeśli zaś zastanowimy się nad stroną dydaktyczną tej książki, to widzimy, że autor jest nietylko zamiłowanym myśliwym, ale również znakomitym znawcą sztuki myśliwskiej oraz dobrym hodowcą.

Reasumując powyższe, widzimy, że książką tą warto się zainteresować. Będziemy przeżywać razem z autorem rozkoszne emocje łowieckie, a może i niejednego się nauczymy.

*

Zupełnie inną pozycją wydawniczą Neumanna są wydawane przez niego prace humorystyczne z dziedziny łowiectwa.

Właśnie dwie takie prace ukazały się przed świętami Bożego Narodzenia w r. 1938.

Jedna z nich to Waltera Hulverscheidta p. t. „*Der lachende Lehrprinz*".

Druga — to Fryderyka Zglinickiego i Joachima Wohla p. t.: „*Zu lustig ist die Jägerei*".

Obie te prace świetnie wyśmiewają przywary i nawyknienia myśliwych. Karykaturalnie ujęte epizody z życia myśliwskiego tryskają zdrowym humorem, jaki się spotyka naprawdę tylko na polowaniach.

A jeśli do tego dodam, że obydwie są ilustrowane wspaniałemi rysunkami, wówczas znajdziemy napewno czas, by zaznajomić się z temi książkami, tembardziej, że ten rodzaj wydawnictw myśliwskich jest w Polsce zupełnie nieznany.

*

I wreszcie chcę napisać jeszcze o jednej maleńkiej książeczce. Jest nią również wydawnictwo Neumanna, p. t. „*Jägerkinder A. B. C.*". Autorem jej jest dr. Detlew-Müller.

Jest to abecadło małego myśliwego. Każda litera ilustrowana jest rysunkiem, przedstawiającym jakiś objekt myśliwski.

Z zazdrością oglądałem tę pracę. Bo godnem zazdrości jest zrozumienie łowiectwa u naszych zachodnich sąsiadów, skoro nawet abecadło drukują myśliwskie.

Takie abecadła spełniają lepiej swoją rolę propagandowo-pedagogiczną, niż pogadanki, odezwy i t. d. Dziecko, które z zamiłowaniem wpatrywać się będzie w obrazek, przedstawiający głuszca lub rysia, pozna przedstawicieli naszej fauny łowieckiej, a gdy zaznajomi się z początkami czytania, na długo wbiją mu się w pamięć pierwsze w życiu przeczytanie zdania.

*

Wkońcu zaznaczyć muszę, iż wszystkie wymienione wydawnictwa są bardzo tanie i dostępne dla kieszeni każdego myśliwego.

Naprawdę godną najwyższego uznania jest działalność wydawnicza Neumanna. A różnorodność tematu jest olbrzymia. Wspomnienia myśliwskie, beletrystyka wysokiej wartości, prace naukowe, książki dla młodzieży i dzieci, oraz kalendarze — te wszystkie dziedziny obejmują wydawnictwa wspomnianej firmy.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Bejotowi. W „Kalendarzu myśliwskim" na r. 1939 znajdzie Pan na str. 312 wykaz zarejestrowanych setterów irlandzkich, zaś na str. 291 wykaz zarejestrowanych przydomków hodowlanych — wśród nich inż. Zygmunta Krotkiewskiego, który hoduje settery irlandzkie: „Vertex".

Springer spanieli najpiękniejszą hodowlę posiada Ks. Izabella Radziwiłłowa w Mańkiewiczach, p. Stolin.

Pozatem w tym samym „Kalendarzu myśliwskim" znajdzie Sz. Pan wogóle obszerny dział kynologji (str. 291 — 315 wł.), jak i wiele innych wiadomości nieodzownych dla każdego myśliwego, podanych na przeszło 500 stronicach.

PRZY NR. 4 PRZESŁALIŚMY WSZYSTKIM PRENUMERATOROM „POLSKI JĘZYK ŁOWIECKI" STANISŁAWA HOPPEGO PO CENIE PREMJOWEJ 1 ZŁ.

RAZ JESZCZE POZWALAMY SOBIE PRZYPOMNIEĆ, ŻE SUMA TA JEST UZUPEŁNIENIEM CENY PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" ZA 1939 R. I PROSIMY O ŁASKAWE ODWROTNE DOKONANIE WPŁATY ZŁ. 1 ZAPOMOCĄ ZAŁĄCZONEGO CZEKU.

Jakimczuk w Zachęcie

Usuńmy na chwilę z rozigranej myśli naszej wspomnienia przebrzmiałych dopiero łowów i przenieśmy się z szarego czy zielonego kobierca pól i lasów do stolicy, gdzie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych wystawiło w swych salonach prace pięciu artystów. Z pośród wystawców interesuje nas przedewszyskiem znany już światu łowieckiemu artysta i czynny myśliwy zarazem, Aleksander Jakimczuk (Krzemieniec, ul. Pierackiego 32). Niezmiernie pracowity ten Wołyniak, który, po wymarciu wielkich autorytetów malarstwa łowieckiego, pierwszy obrał sobie tę dziedzinę sztuki, wystawił 28 olejnych płócien oraz 14 akwarel; ogółem 42 obrazy.

Są wśród nich, oczywiście, sceny i fragmenty myśliwskie, a do najpiękniejszych zaliczam wspaniały olej „Na stanowisku", obraz pełen realizmu i kolorytu, przedstawiający myśliwego z psem, na czółenku, z przewoźnikiem, na tle zadumanego październikowego lasu. Format 44×53, cena 100 zł.

Nastrojową scenę przedstawia olej pt. „Przy stogach". Widzimy tu wiernie podchwyconą przyrodę Polesia. Dwa stogi siana, przed niemi furmanka myśliwska, obok śpiący w trawie pies, a wszystko na tle rozległych moczarów. Format 36×54, cena 80 zł. Również obraz olejny „Wyjazd na głuszce" przykuwa wzrok widza; mamy tu świetnie odtworzoną noc księżycową, stary dworek, a przed nim furmankę. Za chwilę zajmie w niej miejsce myśliwy ze strzelbą; służący pakuje plecak między słomę i nastąpi odjazd na tokowisko. Format 43×48, cena 200 złotych. Inne olejne płótno przenosi nas do znanego z tradycji myśliwskich dworku Rzewuskich w Borsukach. Format 36×41, cena 90 zł.

Dwa następne olejne malowidła, to fragmenty znanej z wysokiej kultury hodowlano-łowieckiej kniei Ordynacji Dawidgródeckiej. Jedno, to łosza żerująca spokojnie pod wieczór, wokół gąszcz zieleni już wypłowiałej pod jesień. Format 31×42, cena 80 zł. Drugie malowidło „Przy brzegu", to sławna, wijąca się wśród „przepastnej krainy" dawidgródeckich lasów rzeka Lwa, widziana w szary dzień z werandy pałacyku myśliwskiego w Hołowach. Format 49×61, cena 125 zł.

Pozatem interesuje myśliwego artystyczna akwarela „Jesienny dzień", gdzie kolorami polskiej złotej jesieni gra cichy, spokojny las liściasty. Format 51×72, cena 200 zł. Druga akwarela „W lesie", posiada również, jak poprzednia, wszelkie walory artystycznej techniki oraz pełnej znajomości opracowanego tematu. Artysta daje nam las skąpany w świetle jesiennego słońca, w głębi dwie sarenki; jedna beztrosko skubie trawę, druga zaś spogląda badawczo, jakby niedowierzająco. Format 51×74, cena 200 zł.

Zaznaczyć tutaj należy jaknajdobitniej i z pełnem uznaniem, że nowe swoje tematy łowieckie zawdzięcza ten duże nadzieje rokujący artysta księciu Karolowi Radziwiłłowi, który zaprosił go do swej puszczy, gdzie p. Jakimczuk miał możność oglądania leśnych krajobrazów oraz podpatrywania przez 14 dni tajników czarującej przyrody: martwej i żywej.

„Pobyt mój w puszczy Radziwiłłowskiej — oświadcza artysta — dostarczył mi materjału na rok pracy malarskiej, dzień w dzień z pędzlem w ręku".

Oto nieoceniona korzyść, gdy znawca sztuki i jej prawdziwy propagator zaprosi artystę do swojej kniei. Oby takich szczęśliwych artystów więcej w Polsce było.

*

Ponadto artysta B. J. Czedekowski wystawił doskonały portret znanego hodowcy zwierzyny i myśliwego, Benedykta hr. Tyszkiewicz *) w zimowym stroju myśliwskim; artysta Wł. Roguski bardzo pomysłową litografję, przedstawiającą klęczącego św. Huberta z kołczanem na plecach, a łukiem w rękach, obok dwa psy; zaś artystka W. J. Goryńska dała dwa pracowite drzeworyty psów setterów.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI

*) Reprodukowany w Nr. 4 „Łowca Polskiego". (Przyp. red.).

Z MIĘDZYKLUBOWEGO KOMITETU KYNOLOGICZNEGO

Tegoroczne field-trialsy dla wyżłów ras angielskich odbędą się w następujących terminach:

1) 16 kwietnia b. r. — **Kraków. Sekcja Kynologiczna Oddziału P. Z. Ł.** Szczegóły będą podane w zawiadomieniach. Informacje — prof. T. Marchlewski, Kraków, Mickiewicza 13.

2) 23 kwietnia r. b. — VII field-trialsy **Pointer Klubu w Polsce.** Przypuszczalne miejsce konkursów Wilanów. Sędziowie: J. Antoszewski, S. Czerski, I. Grymiński, B. Przychodźko. Zamknięcie zapisów — 15.IV. 39 o godz. 19-ej. Zgłoszenia Nowy Świat 35.

3) 30 kwietnia r. b. — VIII field-trialsy **Setter Klubu w Polsce.** Przypuszczalne miejsce konkursów. — Wilanów. Sędziowie: S. Czerski, I. Gryminski, A. Śliwiński, J. Wodziński.

Na pieniężne nagrody przeznaczona kwota — 580 zł. (klasa „Derby" — 240 zł., Championat i klasa otwarta — 340 zł.).

Wpisowe — 20 zł. Dla członków Setter Klubu i Stowarzyszeń Kynologicznych — 15 zł.

Zamknięcie zapisów — 21 kwietnia o godz. 19-tej. Zapisy przyjmuje członek zarządu L. Briesemeister — ul. Pierackiego 15, czytelnia, Tel. 2-11-15.

KOMUNIKAT.

Sekcja Kynologiczna W. Z. M. — Związek Hodowców Wyżła Szorstkowłosego w Poznaniu niniejszem podaje do wiadomości PP. Myśliwych, że pokaz i próby młodych wyżłów odbędą się w drugiej połowie kwietnia bieżącego roku pod Poznaniem.

Do prób można zgłaszać wyżły urodzone w roku 1938, natomiast do pokazu wyżły — urodzone w roku 1937 i 1938. Bezwzględnie wymagane jest pochodzenie wyżła.

Pomimo prób młodych psów w jesieni, wyznaczone będą próby w klasie otwartej. Na próbach wydawane będą nagrody w postaci medali, dyplomów, upominków i znacznych kwot pieniężnych.

Związek Hodowców Wyżła Szorstkowłosego, dbając o dobór reproduktorów i ulepszenie krajowej hodowli wyżła, prowadzi książki rodowodowe oraz wszystkie dodatkowe papiery, jak to zgłoszenie krycia, zgłoszenie miotu i t. p.

W związku z powyższym wzywamy braci z pod sztandaru Św. Huberta do zaniechania dzikiej hodowli i do gremjalnego zgłoszenia wszystkich dobrych, mających pochodzenie wyżłów do zapisu w księgach rodowodowych.

Da to możność zaniechania hodowli jakichś pokurczów.

Bez wyżła niema polowania na ptactwo, niema pięknych obrazków myśliwskich przy dokładnej robocie wyżła — niema etyki myśliwskiej, ponieważ duży odsetek postrzelonej i nieodszukanej zwierzyny ginie bezcelowo. Dbajmy nietylko o zwierzostan, ale i o swego wiernego pomocnika wyżła.

Przyjmuje zgłoszenia oraz wydaje formularze tymczasowe biuro Związku Hodowców Wyżła Szorstkowłosego, Sekcja Kynologiczna W. Z. M., Poznań, Al. Marcinkowskiego 16. w fir. „Żarówka", tel. 54-91.

ROZMAITOŚCI



Z uroczystości św. Huberta Tow. Łowieckiego w Krotoszynie 3.XI.1938 r.

JESZCZE O BRODAWKACH SKÓRNYCH U KUROPATW.

W odpowiedzi P. Drowi Edwardowi Lubicz-Niezabitowskiemu, Profesorowi Uniw. Pozn. na artykuł w Nr. 5 „Łowca Polskiego" z dnia 1.III.1939 r. donoszę:

Na terenach podmiejskich m. Lidy, dzierżawionych przez Wojskowe Towarzystwo Łowieckie Garnizonu Lida, jeden z członków Tow. obserwował przez kilka dni w początkach grudnia 1937 r. na śniegu atakowaną przez wrony, odbitą od stada kuropatwę. Kuropatwa ta po odpędzeniu wron okazała się chorą i zbitą do tego stopnia, że w kilka minut zdechła. Okazało się, że miała cały dziób zdeformowany i pokryty dużemi brodawkami, to samo na przedudziach obu nóg i między palcami.

Celem rozpoznania choroby kuropatwa ta została wysłana do zbadania do Wet. Pracowni Rozpoznawczej w Puławach. Nadesłany pod adresem Towarzystwa wynik badania Nr. dz. 8200. Nr. bad. 3229 z dnia 10.XII.1937 r. brzmiał:

„W preparatach mikroskopowych mazanych nie stwierdzono obecności bakterji. W posiewach w warunkach tlenowych nie stwierdzono bakterji. W dniu 13.XII.1937 r. zaszczepiono myszkę i gołębia Nr. 3229 — żyją.

Rozpoznanie: Nie stwierdzono obecności drobnoustrojów chorobotwórczych. — Podpisał Kierownik wydziału — Dr. Zagrodzki Kaz.".

Jesienią 1938 roku, polując na tym samym terenie, odbiłem od stadka liczącego 14 sztuk — 3 kuropatwy, z których dwie były zupełnie zdrowe, trzecia miała dziób cały pokryty brodawkami zlanemi, wielkości laskowego orzecha, zaś koniec dzioba zagięty silnie ku górze, zwężony przełyk, a sama była silnie wychudzona. Nogi natomiast pokryte były brodawkami drobniejszemi, dochodzącemi między palcami do wielkości grochu.

Zaznaczam przytem, że kuropatwy zostały sprowadzone kilka lat przedtem w dwu partjach z Poznańskiego i wpuszczone na teren, o którym mowa.

A. STARAKIEWICZ.

HODOWLA NUTRJI W POZNAŃSKIEM.

W numerze noworocznym „Kurjera Poznańskiego" ukazał się artykuł, podpisany (sk), p. t. „Wizyta w hodowli bobrów w Poznaniu", w którym autor opisuje od trzech lat istniejącą i wzorowo prowadzoną hodowlę „południowo-amerykańskich bobrów błotnych, inaczej zwanych *nutriami*", liczącą dziś na terenie folwarku Uniwersytetu Poznańskiego w Golęcinie ok. 200 zwierząt.

Podobno gryzonie te czują się w swej sztucznej „ostoi" bardzo dobrze, znoszą doskonale nasz klimat, jedynie młodzieży szkodzą większe mrozy. Hodowla tych zwierzątek dobrze opłaca się, bowiem futerka ich są w przemyśle poszukiwane, a za skórkę osiągnąć można już w drugim roku życia nutrji 45 złotych, podczas gdy koszt wyżywienia starego okazu wynosi rocznie 15 złotych, zaś dziesięciu młodych tylko 35 złotych (czyli po 3 zł. 50). Z tego wynikałoby, że realizując handlowo corocznie odhodowany przyrost w drugim roku jego życia, można osiągnąć około 100% dochodu w stosunku do wszelkich wyłożonych wydatków: na opiekę, administrację i wyżywienie.

Zasadniczo samice nutrji są bardzo płodne, zdarzają się wyjątkowe egzemplarze dające do 12 sztuk potomstwa w miocie.

Jedno tylko należy tu sprostować: gryzonie te nie mają nic wspólnego z bobrami, co podkreśla również Sekcja Ochrony Bobra P. Z. Ł.

WUZET.

HOJNY DAR MYŚLIWEGO NA FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ.

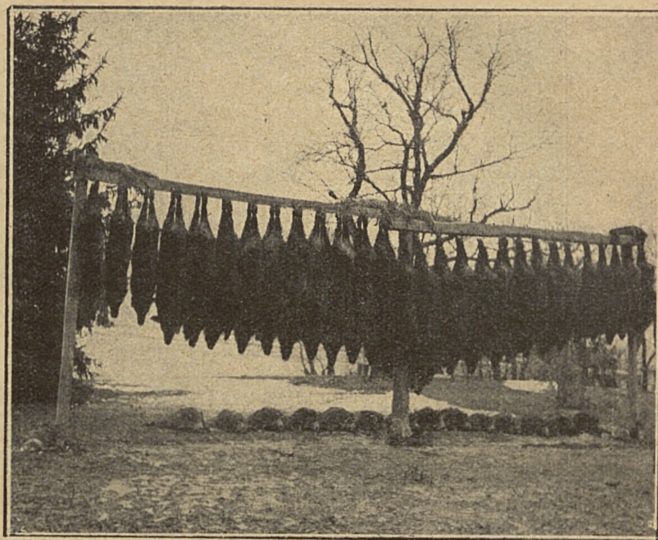
Pan Zygmunt Frycz, członek Polskiego Związku Łowieckiego, długoletni prenumerator „Łowca Pol.", właściciel maj. Probołowice powiatu pińczowskiego w woj. kieleckiem, ofiarował na Fundusz Obrony Narodowej przypadającą na niego część spadku po zmarłej żonie, śp. Janinie z Gajewskich Fryczowej, a mianowicie czwartą część dóbr ziemskich Chomentów, Socha i Baba, pow. radomskiego w woj. kieleckiem.

Darowizna została przekazana Funduszowi Obrony Narodowej aktem notarjalnym, spisanym w Warszawie. Wartość darowizny wynosi około 50.000 złotych.

KRONIKA MYŚLISKA



Pałac w Smordwie A. Hr. Ledóchowskiego. Fot. St. Zamoyski.



Rozkład w Smordwie 17 i 18 stycznia 1939 r. — 42 dziki. Fot. St. Zamoyski.

— W dniach 16 i 17 grudnia 1938 r. odbyło się doroczne polowanie u p. Zbigniewa Charzyńskiego w dobrach Nacpolsk-Strzembowo. Mimo wybitnie niesprzyjających warunków atmosferycznych, z powodu 18⁰ mrozu i silnego wiatru, ubito 30 kozłów, 300 zajęcy i 9 lisów. Największy pokot osiągnęli pp. Witold Maciejewski, mający na rozkładzie 46, zajęcy, 2 kozły, 1 lisa i płk. Stanisław Miniewski — 33 zajęce, 1 kozła, 1 lisa.

*

— W powiecie włoszczowskim odbyły się dwa polowania na dziki z psami.

Dnia 15-go lutego r. b. polowano w maj. Ropocice p. Zygmunta Dzianota. Ubito 8 dzików, w tem jednego dużego odyńca. Udział w polowaniu oprócz gospodarza wzięli pp.: Stanisław Konarski, Konrad Niemojewski, Józef Niemojewski.

Dnia 16-go lutego r. b. polowano w maj. Nieznanowice p. Tomasza Karskiego. Ubito 12 dzików. Udział w polowaniu, poza wyżej wymienionymi, wzięła p. Konradowa Niemojewska, oraz Leon hr. Komorowski i gospodarz.

Polowania te na długo pozostaną w pamięci uczestników, gdyż dzików w dobrach Nieznanowice i w sąsiednim maj. Ropocice jest bardzo dużo, a praca doskonałych psów-dzikarzy, będących własnością pp.: Konrada i Józefa Niemojewskich, dostarczała wrażeń i emocyj myśliwskich najwyższej klasy.

*

— W grudniu i styczniu minionego sezonu polowano kilkakrotnie w maj. Lelechówka (pow. Gródek Jagielloński, woj. lwowskie) Stanisława hr. Tyszkiewicza.

9 i 10/12.1938 r. w 10 strzelb ubito 4 dziki, 16 zajęcy, 9 lisów.

4/1.1939 r. w 7 strzelb ubito 5 dzików.

16, 17, 18/1.1939 r. w 8 strzelb ubito 14 dzików, 1 lisa, 1 jarząbka.

6, 7, 8/2.1939 r. w 7 strzelb ubito 6 dzików.

Poza gremialnemi polowaniami ubito 5 dzików i 6 lisów.

*

W dniu 19 grudnia 1938 r. odbyło się polowanie na dzierżawionych przez p. Karola Zaborowskiego terenach wsi Oleśnica pow. buskiego.

Pomimo 20⁰ mrozu i silnego wiatru, myśliwi prawie wszyscy dopisali w liczbie 15 osób. W sześciu kotłach, wyłącznie na polach włościańskich, podniesiono 342 zające. Najwięcej na rozkładzie miał p. H. Rudzki z Gorzkowa — 44 sztuki.

Tak pomyślny rezultat wyraźnie wskazuje, iż przy starannej opiece, nawet na rozdrobnionej własności można dochować się pięknego zwierzostanu.

Rezultat wciąż wzrasta, dając przykład, że każdy sposób opolowania terenu jest dobry, byle był prowadzony z myślą hodowlaną i gwarantował zwierzynie opiekę i spokój w łowisku.

*

— Dnia 3 lutego r. b. odbyło się w Cieleśnicy u bar. Stanisława Rosenwertha doroczne polowanie na dziki przy udziale pp.: Gustawa Janasza, Aleksandra Karskiego, Antoniego Bądzyńskiego, Tadeusza hr. Plater Zyberk i mecenasa Zembrzuskiego. Ubito 14 dzików, z czego 11 w jednym miocie. Rezultat ten można uważać za prawdziwy rekord Podlasia i za najlepszy dowód znakomitej organizacji polowania.

*

— Polując w Gościeradowie w styczniu r. b. z psami ubito w ciągu tygodnia 19 dzików, w tem 3 kapitalne odyńce. Udział brali: pp. Konrad i Józef Niemojewscy, Seweryn Cichowski, Stefan Libiszowski, Stanisław Kowerski, Paweł Kozłowski, Antoni Grabowski.

*

Rozkład ubitej zwierzyny i drapieżników w Ordynacji Taczanów woj. poznańskiego.

Ogółem ubito w sezonie roku 1938: jeleni byków sztuk 3, łań 3, rogaczy 16, sarn-kóz 3, zajęcy 889, królików 871, bażantów 1264, kuropatw 455, kaczek 26, słonek 5, razem 3535.

Drapieżników: jastrzębi sztuk 33, srok 21, szarych wron 156, psów 59, kotów 35, łasic 14, lisów 4, tchórzy 15, razem 337.

Z powyższej ilości zwierzyny, ubito na polowaniach gremjalnych; w dniu 7.IX. 38 r. = 172 kuropatwy pędzone, 12 kaczek razem 184 sztuki w 6 strzelb (polowano pół dnia).

W dniu 7.XI. 38 r. = 22 zające, 370 królików, 547 bażantów, 5 kuropatw, 7 kaczek, 1 słonkę, 1 lisa, razem 953 sztuki w 7 strzelb.

W dniu 28.XI. 38 r. = 611 zajęcy, 69 królików, 605 bażantów, 90 kuropatw, 1 słonkę, 4 różne, razem 1380 sztuk w 11 strzelb.

W dniu 11.I. 39 r. = 247 zajęcy, 171 królików, 87 bażantów 6 różnych, razem 511 sztuk w 4 strzelby.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

POSIEDZENIE NACZELNEJ RADY ŁOWIECKIEJ

Dnia 1 kwietnia r. b., w sobotę, o godzinie 11-tej przed południem, odbędzie się w siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej.

Porządek obrad przewiduje m in. przyjęcie sprawozdania finansowego za rok 1938 oraz ustalenie budżetu na rok 1939. Na posiedzeniu tem ustalony zostanie termin Walnego Zgromadzenia Związku.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA KOMITETU WYKONAWCZEGO Z DNIA 6 LUTEGO 1939 R.

Przewodniczył P. Prof. Józef Gieysztor, obecni byli P.P.: Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Kamieński, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Andrzej Śliwiński, Kazimierz Świderski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Nieobecność usprawiedliwił P. Inż. Herman Knothe.

Protokół posiedzenia Komitetu Wykonawczego z dnia 25 listopada r. ub. przyjęto bez zmian.

Międzynarodowa Rada Łowiecka zwróciła się do Związku, za pośrednictwem Olgierda ks. Czartoryskiego, z prośbą o wstawiennictwo wobec Rządu, aby uregulowane zostały przypadające od Polski opłaty na rzecz Międzynarodowej Rady Łowieckiej za czas od roku 1935/36. Na tej podstawie P. Przewodniczący Prof. Gieysztor wystąpił w imieniu Związku do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z prośbą o zajęcie stanowiska w tej sprawie, wskazując przytem, iż ze względów prestiżowych uregulowanie wymienionych opłat wydaje się konieczne, a źródłem, z jakiego opłaty te mogłyby być pokryte, są wpływy z kart łowieckich.

Wystąpienie to łączy się ze złożonym Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych memorjałem, podpisanym przez P. Prezesa Generała Sosnkowskiego, a uzasadniającym potrzebę utworzenia „funduszu ochrony łowiectwa" z opłat, wpływających za karty łowieckie, w myśl postanowień art. 34 prawa łowieckiego, na rzecz Ministerstwa Rolnictwa. W memorjale tym wykazano iż utworzenie tego funduszu mogłoby nastąpić już na podstawie obecnie obowiązującego prawa łowieckiego, a nie wymaga odkładania sprawy do czasu nowelizacji prawa łowieckiego, jak wynikałoby ze stanowiska Ministerstwa Rolnictwa.

Komitet Wykonawczy otrzymał zawiadomienia o terminach Walnych Zgromadzeń Wojewódzkich:

Oddziału Wołyńskiego — w Łucku, 18 lutego,
Oddziału Wielkopolskiego — w Poznaniu, 24 lutego,
Oddziału Śląskiego — w Katowicach, 27 lutego,
Oddziału Białostockiego — w Białymstoku, 28 lutego,
Oddziału Lubelskiego — w Lublinie, 5 marca,
Oddziału Kieleckiego — w Kielcach, 8 marca.

Komitet Wykonawczy nie uznał za możliwe zmieniać uchwały Naczelnej Rady Łowieckiej.

Na podstawie wystąpienia Małopolskiej Oddziałowej Rady Łowieckiej, Komitet Wykonawczy uchwalił złożyć Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych wniosek o rozszerzenie czasu ochronnego dla dzikich gęsi i dzikich łabędzi w województwach krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem — na okres od 1 stycznia do 15 lipca, oraz o wprowadzenie w tych województwach czasu ochronnego dla orłów wszelkich gatunków w okresie od 1 lutego do 15 sierpnia.

Przyjęto do wiadomości treść rozesłanego przez Komisję Propagandową prasie codziennej wyjaśnienia, dotyczącego niezręcznej redakcji okólnika Łowczego Powiatowego w Grodnie w sprawie tępienia drapieżników oraz włóczących się psów i kotów.

Na propozycję p. L. Kreuzera z Darmstadtu, od którego Związek nabył dla Muzeum Łowiectwa zbiór tropów i śladów zwierzyny i ptactwa, postanowiono zakupić dodatkowo zbiór tropów drobnych drapieżników i gryzoniów za cenę 100.— RM.

W związku z rozesłaną do prasy codziennej przez Komisję Propagandową odezwą w sprawie budżetu Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, Komitet Wykonawczy postanowił przypomnieć uchwałę, że wszelkie wystąpienia Komisyj i Sekcyj Związkowych nazewnątrz, wkraczające w dziedzinę polityki łowieckiej, muszą uzyskać uprzednią aprobatę Naczelnej Rady Łowieckiej, bądź też Komitetu Wykonawczego.

PROTOKÓŁ SEKCJI OCHRONY BOBRA Z DNIA 6 LUTEGO 1939 R.

Obecni: Przewodniczący Sekcji Prof. J. Gieysztor, przedstawiciele: Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych — pp. inż. Kostyrko, dr Dehnel, Komitetu Ochrony Przyrody w Warszawie — p. Grabda, dyrektor Ogrodu Zoologicznego w Waszawie, dr. Żabiński, przedstawiciel Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Krakowie — p. dr Robel.

Otwierając posiedzenie, Przewodniczący P. Prof. J. Gieysztor przypomniał obecnym warunki powstania i organizacji Sekcji Ochrony Bobra.

Myśl powołania do życia w ramach Polskiego Związku Łowieckiego Sekcji Ochrony Bobra powstała na Walnem Zgromadzeniu członków Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 16 stycznia 1938 r. pod wrażeniem referatu p. dr. Robla o stanie bobrów w Polsce. O tym samym mniej więcej czasie samorzutnie powstała Sekcja Ochrony Bobra również przy Wileńskiej Oddziałowej Radzie Łowieckiej, Towarzyskie Łowieckiem Ziem Wschodnich. Celemześrodkowania tej sprawy Komitet Wykonawczy przekazał kierownictwo sprawami ochrony bobra P. Prof. J. Gieysztorowi, zatwierdzając równocześnie zaprojektowany przezeń regulamin Sekcji Ochrony Bobra.

W ciągu roku ubiegłego Polski Związek Łowiecki otrzymał następujące doniesienia w sprawie bobrów. Wojewódzka Rada Łowiecka w Białymstoku powiadomiła o osiedleniu się bobrów na wyspie na Niemnie naprzeciwko wsi Kowszewo, gminy Skidel pow. grodzieńskiego, przybyłych przypuszczalnie z rezerwatu w Rybakach, niedostatecznie chronionego i niepokojonego przez pasące się w lasach państwowych bydło. W sprawie tej Polski Związek Łowiecki zwrócił się do Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych z prośbą o otoczenie bobrów w Rybakach spie na Niemnie rezerwatu dla bobrów. Dyrekcja udzieliła wyjaśnień w tej sprawie.

Od komitetu Ochrony Przyrody w Warszawie otrzymał Związek powiadomienie o powstaniu kolonji bobrów nad Niemnem, na terenie maj. Ławna tejże gminy Skidel, z prośbą o podjęcie starań co do otoczenia ich opieką. Na skutek łącznego wystąpienia Polskiego Związku Łowieckiego i Komitetu Ochrony Przyrody, obecni właściciele terenu, przedsiębiorstwo „Celuloza Nadniemeńska", wyrazili zgodę na ogrodzenie własnym kosztem obszaru, zajętego przez bobry, z przeznaczeniem go na rezerwat o obszarze 3 — 4 ha, jak również na przeprowadze-

nie nowej drogi dla pojenia bydła i koni z ominięciem rezerwatu.

Wołyńska Wojewódzka Rada Łowiecka zwróciła się do Polskiego Związku Łowieckiego z prośbą następującą:

„Wobec faktu, że poszukiwania rodzimego bobra na terenie Wołynia nie dały rezultatu, natomiast bobry kanadyjskie wpuszczone do rezerwatu w l-ctwie Korczyn, N-twa Susk świetnie się zaaklimatyzowały i rozmnożyły, a nawet wyszły poza teren rezerwatu — Wołyńska Wojewódzka Rada Łowiecka zwraca się do Rady Naczelnej P. Z. Ł. z prośbą o poczynienie odpowiednich kroków u czynników miarodajnych o roztoczenie ochrony i opieki nad bobrem na Wołyniu".

Z powodu tej ostatniej uchwały Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, przedstawiciele Lasów Państwowych złożyli oświadczenie następujące: Bobry w Korczynie pochodzą z 5 sztuk bobrów kanadyjskich, pozostałych z kolonji bobrowej, założonej w 1928 r. w Bucharzewie (poznańskie) z bobrów zakupionych przez Administrację Lasów Państwowych od rządu norweskiego. Bobry kanadyjskie przesiedlone do Korczyna w 1935 r. znalazły tam idealne warunki bytu i rozmnożyły się dziś do 50 z górą sztuk. Ponieważ bobry kanadyjskie stanowią odrębny gatunek *(Castor canadensis)*, o znacznie mniej wartościowem futrze, uznano przeto za niepożądane krzyżowanie ich z bobrami krajowemi i postanowiono początkowo wyłapać je i na ich miejsce wprowadzić bobry krajowe. Wobec wielkiej ilości bobrów i trudności doszczętnego ich wyłowienia, zatrzymano się obecnie na myśli pozostawienia ich na miejscu, a odgrodzenia ich jedynie w taki sposób, aby uniemożliwić przenikanie poza rezerwat. Samo zaś stanowisko bobrów w Korczynie postanowiono wyzyskać zarówno do celów naukowych, dla badania ich sposobu bytowania, jak i do celów propagandowo-pokazowych.

Na prośbę Przewodniczącego przedstawiciele Lasów Państwowych zobrazowali dzisiejszy nasz stan posiadania w zakresie bobrów na obszarach lasów państwowych. Stanowiska bobrów w większych zespołach istnieją w 4 miejscowościach.

Pierwsze — to Niemen i jego dopływy. Główne stanowisko bobrów to rezerwat w Rybakach około Mostów, wraz z jeziorami Okuniewo i Stary Niemen oraz bagnami Horodyszcze i Zamczysko. Liczy ono ponad 25 sztuk bobrów, a nadto kilka żeremi na terenach prywatnych na rzece Pliszcze, pozostających również pod opieką bobrowniczego rządowego. Z rezerwatu w Rybakach bobry wywędrowują co roku w górę i w dół Niemna nie z powodu niedostatecznej ochrony, ale dla utrzymania ilostanu bobrów na poziomie odpowiadającym warunkom terenowym i żywnościowym rezerwatu. Właśnie aby warunki te polepszyć, projektowane jest przeniesienie wsi Rybaki na przeciwległy brzeg Niemna. Z takich bobrów-emigrantów Rybackich powstały wymienione wyżej kolonje koło wsi Kowszewo na Niemnie (8 sztuk), w maj. Ławna (6 sztuk), koło Nowosiółek (4 sztuki) i na prywatnych terenach na Czarnej Hańczy (6 sztuk).

Drugą dużą ostoją bobrów jest rz. Berezynka w nadl. Biały Brzeg. Założony tam rezerwat w kompleksie puszczy Nalibockiej liczy dziś 40—50 sztuk bobrów, znajdujących tu również idealne warunki bytu.

Trzecią ostoją jest rz. Szczara wraz z kanałem na terenie lasów państwowych Rzepichowo. Utworzony rezerwat liczy 30—40 sztuk bobrów obok pewnej ich ilości na sąsiednich terenach prywatnych.

Czwarte wreszcie stanowisko bobrów istnieje w nadl. Wiado wzdłuż kanałów. Powstało ono z bobrów, które przyszły z Rzepichowa. Aby je utrzymać, założono rezerwat, obsadzany dziś łozą. Liczba bobrów wynosi 6—8 sztuk.

Osiedle bobrów na Żegulance (nadl. Bronna Góra i Iwacewicze) dziś znacznie opustoszało z powodu bliskości licznych wsi. Ogólna ilość bobrów na terenach lasów państwowych da się przeto określić na 130 — 150 sztuk.

Aby otrzymać odpowiednie dane, dotyczące rozmieszczenia i stanu ilościowego bobrów w lasach prywatnych, polecono Kierownictwu Sekcji przeprowadzić ankietę, a nadto poruszyć sprawę dokonania przez młodych przyrodników i leśników wyprawy kajakowej wzdłuż Niemna i Szczary dla naocznego zbadania nowych stanowisk bobra. Pomoc pieniężną na tego rodzaju wyprawę należałoby wyjednać w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zaś wskazówek fachowych obiecał udzielić p. dr. Dehnel.

Przedstawiciele Lasów Państwowych zakomunikowali, iż w chwili obecnej omawiane są projekty wprowadzenia bobrów do puszczy Białowieskiej oraz do puszczy Niepołomickiej. Przy tej sposobności mają być wyzyskane doświadczenia, zdobyte przez p. dr. Dehnela przy łowieniu bobrów kanadyjskich w Korczynie, w pułapki własnego pomysłu.

Wobec poruszenia na zebraniu sprawy t. zw. bobrów błotnych czyli nutryj, wypowiedziano się przeciwko nazywaniu ich bobrami, z któremi nie mają nic wspólnego. Zaś w celu zapobieżenia wszelkim na tem tle nieporozumieniom, uchwalono zabiegać o to, aby zarówno przy nowelizacji prawa łowieckiego, jak ustawy o ochronie przyrody, podawane były, obok polskich nazw gatunków zwierząt łownych czy chronionych, także nazwy łacińskie, naukowe.

Przechodząc do spraw ochrony bobra, zebranie uznało za niebezpieczne stosowanie wyłącznie kar za niewłaściwe postępowanie z bobrami, względnie utrudnianie ludności miejscowej swobodnego poruszania się w terenie. Najczęstszym wynikiem tych środków bywa przepłaszanie bobrów np. przez wycinanie łozy, aby się uwolnić od tego uciążliwego sąsiada. Daleko bardziej skutecznym i bardziej wychowawczym środkiem jest, odwrotnie, przyznawanie nagród za ujawnione przez włościan na swoich terenach żeremia bobrowe i dalszych nagród — za ich ochronę. Wobec jednomyślności zebranych co do celowości tej drogi, zlecono Kierownictwu Sekcji opracowanie konkretnego projektu przyznania tego rodzaju nagród z tem, że środki na nie będą zbierane od Komitetów Ochrony Przyrody, od Polskiego Związku Łowieckiego oraz z innych źródeł dostępnych. Podobne nagrody powinny być również wypłacane funkcjonarjuszom policji czy osobom prywatnym, które przyczynią się do ujawnienia winnego ubicia bobra, czy potajemnego handlu skórkami bobrowemi. To ostatnie ułatwione będzie wówczas, kiedy wprowadzone zostanie ustawowe żądanie świadectwa pochodzenia skórki w postaci chociażby napisu na wewnętrznej stronie skórki: nazwiska i adresu sprzedawcy.

Jako zapewniające większą ochronę bobrów, uznano również wprowadzenie do noweli prawa łowieckiego ustępu, uznającego bobra za zwierzynę łowną, z prawem odstrzału jej w okresie 10-ciu dni w listopadzie. Zarządzenie to pobudzi właścicieli ostoi bobrowych do otoczenia ich opieką, jak to widzimy w stosunku np. do łosi. Wobec wyrażonej wątpliwości, czy odstrzał bobra da myśliwemu dostateczną rekompensatę z uwagi na to, że bóbr strzelony na wodzie tonie i że nie można odróżnić samca od samicy, zwrócono uwagę, że analogiczne warunki zachodzą np. przy wydrach, jednakże polowanie na nie daje wyniki dobre, bez pomniejszania widocznego ich ilostanu. Określenie terminu odstrzału na listopad usuwa niebezpieczeństwo ubicia samicy kotnej.

W dalszym toku dyskusji uznano, iż w celu ułatwienia osiedlania się bobrów na Niemnie należałoby zwrócić się do Zarządu Dróg Wodnych z prośbą, aby główki wałów regulacyjnych budowane były z łozy, nie z kamienia, oraz aby bindugi (składy drzewa) i postoje dla tratw nie były wyznaczane w bezpośredniej bliskości od osiedli bobrowych.

W celu popularyzacji ochrony bobra p. dr. Dehnel przygoto-

wuje broszurę, przeznaczoną głównie dla państwowej służby leśnej, ale można ją będzie spożytkować i dla rozpowszechnienia wśród szerszego ogółu wiejskiego. W tym samym celu pożądane byłoby korzystanie również z pomocy radja, zwłaszcza z rozgłośni wileńskiej.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

Walne Zgromadzenie **Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej P. Z. Ł.** odbędzie się w Toruniu w dniu 25.III.39 r. o godz. 11-ej w auli Pom. Urzędu Wojewódzkiego:

Porządek obrad:

1) Zagajenie.
2) Sprawdzenie listy obecnych.
3) Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów do Prezydjum Zgromadzenia.
4) Odczytanie protokółu z poprzedniego Walnego Zgromadzenia Oddziału.
5) Sprawozdanie Zarządu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.
6) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
7) Preliminarz budżetowy na rok 1939.
8) Wnioski Pom. Woj. Rady Łowieckiej oraz wnioski zgłoszone do Rady w trybie § 42 statutu.
9) Wolne głosy.
10) Zamknięcie obrad.

WOJEWÓDZTWO POLESKIE.

W dniu **26 marca 1939 r.** o godzinie 12-tej odbędzie się w lokalu Wydziału Powiatowego w Pińsku ul. Nabrzeźna Nr. 50, **Walne Zgromadzenie Wojewódzkie (Oddziałowe) Polskiego Oddziału P. Z. Ł.** z następującym porządkiem obrad:

1) Sprawdzenie listy obecnych.
2) Zagajenie.
3) Wybór sekretarza i dwóch asesorów do Prezydium Zgromadzenia.
4) Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zgromadzenia Oddziału Pol. Zw. Łow.
5) Sprawozdanie:
   a) Prezesa Woj. Rady Łow. z działalności Poleskiego Oddz. P. Z. Ł. za rok 1938.
   b) Dyskusja nad powyższymi sprawozdaniami.
6) Udzielenie absolutorjum dotychczasowej Woj. Radzie Łow.
7) Zatwierdzenie preliminarza budżetowego Poleksiego Oddz. P. Z. Łż na rok 1939.
8) Rozpatrzenie zgłoszonych wniosków.
9) Wolne wnioski
10) Zamknięcie obrad.

KS. K. RADZIWIŁŁ,
Łowczy Wojewódzki.

WALNE ZGROMADZENIA POWIATOWE

Walne Zgromadzenia Powiatowe są zwoływane przez Łowczych Powiatowych na mocy § 50 statutu P. Z. Ł.

Porządek dzienny Walnych Zgromadzeń Pow. jest następujący:

1. Zagajenie.
2. Wybór 2 asesorów i sekretarza do Prezydjum.
3. Odczytanie protokółu ostatniego Walnego Zgromadzenia.
4. Sprawozdanie Łowczego Powiatowego z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej za rok ubiegły.
5. Wybory Członków Pow. Rady Łowieckiej na rok bieżący.
6. Wybory delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7. Wolne wnioski.

Według powyższego porządku dziennego odbędą się następujące **Walne Zgromadzenia powiatowe:**

18 marca 1939 r. powiatu **Morskiego i miasta Gdyni,** w Gdyni, w sali Hotelu Centralnego, ul. Starowiejska Nr. 1, o godzinie 16-ej.

19 marca 1939 r. powiatu **Łuniniec** woj. poleskiego, w Łunińcu, w sali Wydziału Powiatowego, o godz. 17-ej.

22 marca 1939 r. powiatu **Łomża** woj. białostockiego, w Łomży, w sali Starostwa Powiatowego, o godz. 13-ej.

26 marca 1939 r. powiatu **Prużana** woj. poleskiego w Prużanie, w Starostwie Powiatowem, o godz. 13-ej.

26 marca 1939 r. powiatu **Węgrów** woj. lubelskiego, w Węgrowie, w lokalu Starostwa Powiatowego, o godz. 11-ej.

28 marca 1939 r. powiatu **Opoczno** woj. kieleckiego, w Opocznie, w sali Sejmiku Powiatowego o godz. 11-ej.

2 kwietnia 1939 r. powiatu **Drohiczyn** woj. poleskiego, w Drohiczynie Poleskim, w lokalu Starostwa Powiatowego, o godzinie 12-ej.

GRUŹLICA RZEKOMA U ZAJĘCY W POZNAŃSKIEM

Komunikat Wlkp. Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego

Laboratorjum Biologiczne Instytutu Badawczego Lasów Państwowych w Białowieży zawiadomiło Wielkop. Oddział Pol. Zw. Łow., że w m. grudniu 1938 r. została przez Laboratorjum Biologiczne stwierdzona zakaźna choroba u zajęcy, t. zw. gruźlica rzekoma (Pseudotuberculosis rodentium) w powiatach wolsztyńskim, krotoszyńskim, ostrowskim i kępińskim.

Ponieważ choroba ta dla zajęcy jest bardzo niebezpieczna, łatwo przenosząca się na znaczne przestrzenie i z reguły śmiertelna, a wskutek tego mogąca wywołać ogromne spustoszenie wśród zajęcy na terenach naszych łowisk wielkopolskich, przeto uważamy za celowe zawiadomić naszych PP. Członków o grożącem niebezpieczeństwie, oraz podać przebieg choroby tej, jak również środki zapobiegawcze.

Gruźlica rzekoma gryzoni charakteryzuje się znacznem wychudzeniem i osłabieniem zwierząt, które wtedy dają się bardzo łatwo chwytać. Na sekcji stwierdzić można znaczne przekrwienie i obrzęk wątroby, śledziony oraz nerek, które to organy mogą być również (w formie podostrej i przewlekłej) usiane ogniskami ropnemi (nekroza) różnej wielkości, od ziarnka maku do ziarnka grochu. Zarazek przedostaje się do organizmu prawie wyłącznie z karmą i atakuje w pierwszym rzędzie przewód pokarmowy (często dziesięciokrotny obrzęk i zserowacenie gruczołów chłonnych jelit grubych).

Zarazki zwane *Streptobacillus pseudotuberculosis* przedostają się z krwiobiegiem do wątroby, śledziony i nerek, a często do płuc, gdzie wskutek wydzielania jadów powodują nekrozę otaczających je tkanek (ogniska ropne). Zwierzyna, przeważnie zające, rzadziej inne gryzonie, pada po kilku dniach. Zarazek gruźlicy rzekomej gryzoni nie jest dla ludzi chorobotwórczy, jednak do spożycia mogą być wyłącznie dopuszczone jednostki jeszcze niewychudzone, u których proces zlokalizowany jest w przewodzie pokarmowym, a nie przeniósł się jeszcze z krwiobiegiem na inne organy wewnętrzne.

Na terenach łowieckich, w których jeszcze niedostatecznie stwierdzono wystąpienie wśród zajęcy tej choroby, należy niezwłocznie pierwszą znalezioną padłą sztukę w stanie świeżym i nierozłożonym przesłać do Laboratorjum Biologicznego Instytutu Badawczego Lasów Państwowych w Białowieży, z prośbą o przeprowadzenie dokładnych badań i ustalenia przyczyn padnięcia. Dalsze znalezione padłe sztuki należy palić, nie zdejmując z nich skórek — nory królicze (ogniska zarazy) zakopywać.

Wszelkie wyłapywanie zajęcy celem wysyłki dla odświeżenia krwi na inne tereny łowieckie stanowczo nie powinno być w łowiskach zagrożonych dokonywane. Ponieważ oprócz wyżej podanych powiatów, jak nam donoszą, są i inne powiaty w Poznańskiem zagrożone, przeto zalecamy wstrzymać się w tym roku od sprowadzania zajęcy dla odświeżenia krwi, gdyż przy niedostatecznej kontroli bardzo łatwo można zawlec tę chorobę do łowisk jeszcze nią nie objętych.

SKRÓTY SPRAWOZDAŃ Z WALNYCH ZGROMADZEŃ POWIATOWYCH WARSZAWA-PRAGA Z DNIA 2-go LUTEGO 1939 R.

Przewodniczący Zebrania odczytał sprawozdanie z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej, z którego zebrani dowiedzieli się, że na 160 osób wykupujących karty łowieckie ze Starostwa Warszawa Praga do końca r. 1938 zapisało się na członków Związku 76 osób w tem 24 na czł. nadzwyczajnych. Uważając ten stosunek za bardzo niekorzystny, Rada postanowiła użyć wszelkich rozporządzalnych środków propagandowych i ponowić w najbliższym czasie zabiegi, aby z pośród pozostałych posiadaczy kart łowieckich większość wciągnąć do organizacji.

Powiatowa Rada ma prawo korzystać ze składek członkowskich w wysokości 50% wpływów z powiatu na wydatki bieżące. Nie posiadając jednak specjalnych wydatków, jakie mają powiaty wiejskie w związku z wyjazdami kontrolnemi, ochroną zwierzyny i wypłacaniem nagród za tępienie kłusownictwa, listem z dnia 21 maja 1938 r. do Wojewódzkiej Rady nasza Rada Powiatowa zrzekła się udziału w dochodach na rzecz któregokolwiek z powiatów podwarszawskich, najbardziej zaniedbanego pod względem łowieckim i potrzebującego zasiłku pieniężnego.

Drobne wydatki poniesione na znaczki pocztowe, w związku z rozsyłaniem druków propagandowych i korespondencją, nasza Rada Powiatowa załatwiła we własnym zakresie, bez obciążania budżetu.

Na posiedzeniu w dniu 25-tym stycznia 1939 r. Praska Rada Powiatowa postanowiła przedstawić do zatwierdzenia: na Łowczego p. Kitzmana Karola, na Podłowczych Dra Jastrzębskiego Leona i Inż. Żołędowskiego Edmunda.

Powyższe sprawozdanie Powiatowej Rady Łowieckiej Walne Zebranie przyjęło jednomyślnie do wiadomości.

Jako kandydatów do Powiatowej Rady na rok 1939 przewodniczący zaproponował: 1) Dra Świderskiego Kazimierza, 2) Dra Małachowskiego Mieczysława, 3) Przychodźko Bazylego, 4) Inż. Rendznera Jana i 5) Kiszkurnę Józefa.

Z braku innych kandydatur ze strony Walnego Zebrania powyższe kandydatury zostały przyjęte jednogłośnie przez aklamację.

Jako kandydata delegowanego na Wojewódzkie Walne Zgromadzenie, przewodniczący zaproponował Dyr. Kazimierza Świderskiego, co Walne Zebranie jednomyślnie zaaprobowało.

KAROL KITZMAN
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

POWIAT WIELUŃ

W dniu 7 lutego r. b., w sali „Rodziny Urzędniczej", odbyło się Walne Zgromadzenie członków Polskiego Związku Łowieckiego na powiat wieluński. Zgromadzeniu przewodniczył Łowczy Powiatowy p. Roman Kuczamer.

Ze sprawozdania Łowczego Powiatowego wynika, że Polski Związek Łowiecki na terenie powiatu wieluńskiego powziął energiczną walkę z kłusownictwem i zawodowem tępieniem zwierzyny łownej przez niektórych legalnych myśliwych, w wyniku czego, w ostatnim czasie, pozbawiono 30 myśliwych kart łowieckich i zezwoleń na broń myśliwską. Rada Powiatowa Łowiecka ze swego skromnego budżetu przeznaczyła i wypłaciła 50 złotych na walkę z kłusownictwem. Podjęto też walkę z psami wałęsającemi się po polach, przyczem właściciele psów będą pociągani do odpowiedzialności karnej. Wysłano również do wszystkich gromad wiejskich, urzędów gminnych, placówek straży granicznej i in. 430 odezw do rolników o ochronie zwierzyny łownej i ptactwa śpiewającego i wreszcie zaprenumerowano „Łowca Polskiego", który umieszczono w cukierni p. St. Sulikowskiego w Wieluniu.

Po przyjęciu sprawozdania do wiadomości, Walne Zgromadzenie uchwaliło wyrazić podziękowanie Staroście Powiatowemu p. Mgr. Choczyńskiemu i Komendantowi Pol. Państw p. Wykowskiemu za przychylne ustosunkowanie się do spraw łowieckich i za popieranie poczynań Polskiego Związku Łowieckiego.

Do Powiatowej Rady Łowieckiej wybrani zostali: pp Magister Adam Choczyński, starosta powiatowy, Władysław Krzyżanowski, nadleśniczy lasów państwowych — Rudniki, Zygmunt Więckowski, leśniczy lasów państwowych w Budziakach i Zygmunt Walknowski z Wielunia.

Na Delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie wybrano p. Zygmunta Więckowskiego.

Po dokonaniu wyborów, p. Więckowski wygłosił rzeczowy referat: „Droga ku poprawie zwierzostanu".

Z OSTATNIEJ CHWILI

Ś. P. MIECZYSŁAW TUKAŁŁO

Mieczysław Tukałło właściciel maj. Boracin ziemi nowogródzkiej i innych, długoletni Prezes Towarzystwa Łowieckiego w Nowogródku, długoletni członek Zarządu P. Z. Ł., założyciel i członek Polskiego Towarzystwa Myśliwskiego, Prezes regjonalnej sekcji ochrony Bobra, członek Wileńskiej Oddziałowej Rady Łowieckiej P. Z. Ł. opatrzony św. św. Sakramentami po długich i ciężkich cierpieniach zmarł dnia 8 marca 1939 roku w wieku lat 50.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, K. Świderski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiełło, i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OCENA BRONI MYŚLIWSKIEJ

Stacja Badawcza Polskiego Związku Łowieckiego dla broni i amunicji myśliwskiej i sportowej przystępuje obecnie do oceny broni myśliwskiej dla ogółu myśliwych.

Ocena broni przeprowadzona będzie według zasad ogłoszonych w Nr. 3 „ŁOWCA POLSKIEGO" z roku 1935.

Opłata za wykonane prace została ustalona w następującej wysokości:

Określenie wydajności strzelby przez oznaczenie jej ilości trafień do tarczy stupolowej, pokrycia pól i zagęszczenia dla jednej lufy i jednego dowolnego rodzaju amunicji	6.— zł.
dla dwu luf	10.— zł.
Dodatkowe oznaczenie siły przebicia przy pomocy kartonów — od jednej lufy . .	1.50 zł.
Dobranie najlepszego naboju handlowego, zależnie od ilości strzałów, oznaczenie najwyższej odległości dostatecznej wydajności strzału dla jednej lufy i jednego rodzaju amunicji.	4.— zł.
Określenie najwyższego ciśnienia w lufie i szybkości początkowej za jeden strzał	2.— zł.

Broń wraz z dokładnie sprecyzowanemi żądaniami uprasza się nadsyłać pod adresem:

„Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie — Myśliwska Stacja Badawcza"

MYŚLIWI!

NADSYŁAJCIE FOTOGRAFJE DO REPRODUKCJI W „ŁOWCU POLSKIM"